Cena 7 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II | Warszawa, 24 marca 1946 r. | Nr. 12 (18)

Witold Bieńkowski

KATOLICYZM GŁODNYCH

Mówi się u nas dużo o idei, mówi się o doktrynie. Wynosi się na użytek społeczny najświętsze zasady i najwznioślejsze hasła. Na sztandarach doraźnie utylitarnych umieszcza się wszystkie prawa, które ku chwale swojej i pożytkowi człowieka objawił i ustanowił Bóg.

Gdyby zebrać wszystkie kłamstwa, tkwiące w intencjach ludzkich, gdyby zwielokrotnić przez wszystką małość ludzką nadużywanie prawdy ku fabrykowaniu fałszu — zachwycić by się trzeba największym cudem niezłomności Kościoła, burzonego wytrwale czynami katolików.

Gdyby wymierzyć odległość między ideą a rzeczywistością, między doktryną a zrealizowanymi osiągnięciami — trzeba by stwierdzić: jest to odległość słońca od ziemi, cnoty od grzechu.

Jakże mali i jak zakłamani są ludzie, którzy przyjęte od Kościoła prawdy i zasady moralne traktują jako drogocenny depozyt, a broniąc go od napaści z zewnątrz trupieszeją w swej źle pojętej roli obrońców. W braku własnej siły ofensywnej, siły zdobywczej, sprawiają, że prawdy moralne Kościoła Katolickiego istnieją ponad życiem, są dla ludzi tym, czym jest dla ziemi zasłonięte chmurami słońce. Nie rozpalają i bezpośrednio nie świecą. Wywołują świadomość istnienia czegoś życiodajnego, lecz nieosiągalnego i obcego.

KAPLICZKI

Wszystkie próby przeciwstawienia na odcinku społecznym katolicyzmu marksizmowi są oparte na złym rachunku. Gdyby chcieć powtarzać stare błędy — błędy z okresu międzywojennego — gdyby z przyzwyczajenia operować cyframi katolików metrykalnych, stanęłoby się wobec konieczności wyciągnięcia fałszywego wniosku. Trzeba by bowiem stwierdzić przyjmowanie się wśród katolików idei wyraźnie niekatolickich, trzeba by w konsekwencji uznać, że niekatolickie idee społeczne posiadają większą siłę zdobywczą, gwarantują nawet katolikom skuteczniejsze osiągnięcie pożądanych zmian w układzie stosunków społecznych.

Trzeba przyznać, że prawdziwy jest wywód organu P.P.R.'u „Trybuny Wolności", stwierdzający, że nawet w szeregach P.P.R.'u znajdują się katolicy. Trzeba przyznać, że katolicy znajdują się we wszystkich partiach politycznych, popierają czynnie wiele społecznych koncepcji reformatorskich, nie wywodzących się ze społecznej nauki Kościoła i nie opartych na katolickich zasadach moralnych.

Jeśli przyjąć, że wniosek o mniejszej wartości społecznej zasad katolickich jest fałszywy — zgodzić się trzeba na stwierdzenie, że albo rachunek katolików jest nieścisły, albo nad sposobem społecznego interpretowania katolickich zasad moralnych zaciążył błąd.

Wyprowadzanie katolickich sił społecznych do walki o sprawiedliwość społeczną musi tak długo pozostać bezowocnym okrzykiwaniem ofensywy — jak długo nie zostanie przeprowadzona rewizja w pojęciach: 1-o kogo do tej walki się wzywa i 2-o jakie w sposób wyraźnie sprecyzowany zasady reformatorskie się głosi.

Walka katolicyzmu o sprawiedliwość społeczną jest związana z samą istotą społecznych zadań i założeń Kościoła. Walka o wolność człowieka, o jego godność ludzką, o zrównanie w prawach możnego i niewolnika była społeczną treścią zwycięskiego pochodu chrześcijaństwa. Za naukę Boga - Człowieka ginęli nie tylko święci, dla których śmierć męczeńska była heroicznym ukoronowaniem wiary i miłości. Za społeczny skutek nauki Chrystusa ginęli i ci, dla których wielkość rewolucyjnych wartości społecznych chrystianizmu stanowiła cel, dla osiągnięcia którego oddawało się życie.

Z nauki Chrystusa nie wykreślono nic, chrześcijańskie prawo moralne nie zostało ani zmienione, ani uszczuplone. Wartości religii Chrystusowej, jedynie zbawczej dla świata, pozostaną nimi aż po jego kres.

Nie zbankrutowała religia Chrystusowa. Nie zbankrutowały chrześcijańskie zasady moralne. Bóg jest jeden. I nie urodził się nowy bóg-człowiek, który by ustanawiał lepsze i nowe prawa.

Odeszli od Boga ludzie. W zakłamaniu własnej ważności pobudowali kapliczki, w których czczą Boga na obraz i podobieństwo swoje. Prawami boskimi zabezpieczają własne prawa. W imieniu wartości wewnętrznie nieprzeżytych, a lekkomyślnie uzurpowanych, stwarzają nową granicę między człowiekiem i człowiekiem.

Nieprawdziwe są cyfry katolików. Jest ich coraz mniej. Odchodzą. I odchodzić będą póty — póki istnieć będą zakłamane kapliczki, w których hodować się będzie katolickie prawo własności dla możnych i jałmużnę z nadmiaru dla nędzarzy.

DEKLAMACJE O KONIECZNOŚCI REFORM

Deklamowano w okresie międzywojennym o konieczności reform. Wygłoszono dziesiątki i setki wykładów w środowiskach katolickich na temat encyklik społecznych wielkich Papieży Leona XIII i Piusa XI. Wypowiadano wiele słów. Mówiono o proletariacie. Mówiono o nędzy i o głodzie. Cytowano dosłownie zdanie Piusa XI Wielkiego, że „istnienie proletariatu jest zbrodnią wołającą o pomstę do nieba". Uczono, czym jest prawo własności, czym niesprawiedliwość społeczna, czym kapitalizm i jego zbrodnicze przerosty.

Zdawało się, że z samych słów, omawiających społeczną doktrynę Kościoła, odświeża się klimat życia katolickiego. Że nadchodzą czasy przemian, w których katolicyzm nauczy ludzi wielkiej prawdy życia sprawiedliwego. Że myśląc o prawie własności możny pomyśli o nic nie posiadającym, że myśląc o trustach i kartelach, kapitalista mieć będzie na myśli konieczność uspołecznienia warsztatów pracy podług praw należnych pracownikom.

Głoszono i nauczano. Nie stało czasu, a prawdopodobnie woli, na rozpoczęcie realizowania reform.

Kataklizm wojenny wstrząsnął posadami świata. Był potrzebny, aby wstrząsnąć sumieniami. Albowiem nie słowa potępiają grzechy i nie słowami praktykuje się cnoty.

PRAWO NĘDZY I GŁODU

Istnieje od początku świata i będzie istnieć aż po jego kres. Formować je będzie, jak i formowało dotąd, setki przyczyn. Klęski żywiołowe, kataklizmy wojenne, niedołęstwo rządzących, lenistwo rządzonych. W naturalnym jego trwaniu na ziemi nie ma klęski. Utopią byłoby mniemać, że ziemia zamieni się w raj i że nie będzie na całej kuli ziemskiej głodnych. Ani w Chinach, ani w Indiach, ani wśród lodów Grenlandii.

Prawo nędzy i głodu jest jednak klęską tam, gdzie wynika ze złych, niesprawiedliwych urządzeń społecznych, gdzie w dysproporcjach stanu posiadania synów tego samego narodu i kraju jest uznawane jako zło, ale zło konieczne. W tym tkwi klęska największa, bo moralna. Najstraszniejsza, bo przecząca naturze.

Proletaryzm, czyli stan ludzi nic nie posiadających i nie mających nadziei na posiadanie, jest z punktu widzenia katolickiego prawa moralnego stanem wołającym o pomstę do nieba.

W tym stosunku prawa katolickiego do złych urządzeń społecznych zawiera się istotny sens jego społecznych wartości reformatorskich.

Wydawać by się mogło, że nie czas dzisiaj na przypominanie słów ewangelicznych o tym, że łatwiej jest wielbłądowi przecisnąć się przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego.

Mogłoby się zdawać, że kataklizm wojenny dostatecznie wstrząsnął sumieniami, aby dzisiaj katolicy wczoraj bogaci inaczej na sprawę konieczności reform patrzyli, niż wówczas, gdy bezmała nieprzyzwoitością było żądać od nich konsekwentnego postępowania w myśl głoszonych katolickich haseł.

Chodzi tu o coś innego. Chodzi tu, przy rozpatrywaniu konieczności rewizji pewnych pojęć — o zmuszenie do wyjścia z kapliczek. O zmuszenie do zagaszenia świeczek palonych diabłu, aby z pożądaniem ustabilizowania stosunków społecznych w Polsce nie łączono tęsknoty za powrotem tego stanu rzeczy, w którym pobożnie deklamowało się o katolicyzmie, mając pełne serce burżujstwa, oschłości i tępoty.

Nie może istnieć dla katolicyzmu prawo głodu. Nie wolno z pobożnym westchnieniem zakłamywać siebie, dając z nadmiaru grosz „na chleb św. Antoniego" i jednocześnie żądać zań stokrotnej zapłaty. Nawet nie w niebie, ale tu, na ziemi.

Gdyby móc zebrać całą hipokryzję w postępowaniu katolików, pełniących swoje „miłosierdzie" dla szukania siebie i bliźniego — narosłaby wielka góra fałszu, ciężka jak skalny blok, gniotąca jak odpowiedzialność, z której zdano sobie sprawę zbyt późno.

GRZECH WOŁAJĄCY O POMSTĘ DO NIEBA

Jest nim zaniedbanie w społecznym stosowaniu prawa Bożego. Jest nim ten stan rzeczy, że zapomniano spojrzeć na społeczne prawo katolickie od strony uciśnionych, wyzyskiwanych i głodnych. Jest nim grzech „cudzy", grzech katolików głodnych, poszukujących rozwiązań i reform socjalnych poza katolicyzmem.

Mylą się ci, którzy twierdzą, że przed dwoma tysiącami lat, w okresie niewolnictwa, chrystianizm był koniecznością dziejową i że dziś trzeba rewolucji innej, z innych przesłanek społecznych zrodzonej, gdyż tylko inne rewolucyjne formy zdolne są zaradzić złu niesprawiedliwości społecznej.

Mylą się również i ci z pośród katolików, którzy jeszcze niedawno sądzili, że drogą ewolucji, drogą perswazji uda się zmiękczyć zatwardziałe serca możnych.

Drogi postępu świata nie są przypadkowe. Kieruje nimi Rozum Przedwieczny. Sprawiedliwość Boża wyraża się niekiedy potopem, Sodomą, lub zepchnięciem na dno nędzy wszelkiego egoizmu i pychy.

Kataklizmy dziejowe są kierowane prawem Sprawiedliwości która prócz nagrody rozporządza karą.

W okresach zjawisk nieprzewidzianych przychodzi czas na rachunek sumienia. Na żal i mocne bicie się w piersi. Za grzech doprowadzenia do takich stosunków społecznych, w których krzywdzeni i uciskani odchodzą od katolicyzmu. Za grzech egoistycznego bronienia katolickim prawem własności niesprawiedliwego społecznie stanu posiadania. Za takie grzechy ekspiacja winna być na miarę krzywd społecznych na miarę wewnętrznej, prawdziwie i głęboko przeżytej reformy katolika.

KATOLICYZM GŁODNYCH

W tym społecznym wyrazie jest to katolicyzm niebezpieczny. Posiada bowiem siłę niezadowolenia i rozpaczy. Społecznego katolicyzmu głodnych nie ujmie w karby posłuszeństwa, ani zapewnienia o nagrodzie po śmierci, ani chęć wytłomaczenia konieczności pokornego godzenia się z losem.

Katolicyzm głodnych żąda miłości. Nie deklamowanej, nie tej, która się wyraża jałmużną z nadmiaru — ale tej, której istotą jest prawdziwe chrześcijańskie miłosierdzie, Caritas czynów na miarę krzywd i konieczności dania za nie zadośćuczynienia.

Poszukiwanie skutecznych rozwiązań socjalnych poza katolicyzmem nie jest buntem. Jest zaledwie wyrzutem skierowanym w stronę istniejącej w Prawie katolickim lecz nie w katolickich czynach — Sprawiedliwości.

Walka o prawo do życia jest naturalnym prawem człowieka. Proletariusz ma prawo żądać sprawiedliwego rozłożenia dóbr społecznych — posiadający nie ma prawa mniemać, że zaspokojenie potrzeb proletariusza jest wyrazem jego dobrej woli. Sprawiedliwości społecznej nie uzależnia się od mniejszej lub większej zatwardziałości społecznie grzeszących.

I jeśli przychodzi stanąć przed obserwowanym procesem poszukiwania przez katolików rozwiązań socjalnych poza katolicyzmem — ogarnia słuszny i usprawiedliwiony lęk.

Albowiem lęk przed odchodzeniem głodnych od katolicyzmu musi być lękiem przed odejściem Boga.

PRAWDZIWY RACHUNEK I KONIECZNE CELE

Można w uproszczonym obliczeniu powiedzieć krótko że czasy obecne są czasem próby dla katolików.

Czy dla wszystkich? Czy do tych czasów próby ma się pełne moralne prawo zaliczyć rzesze głodnych i krzywdzonych? Czy właśnie ich egzamin ma być wynikiem próby sił katolickich?

Czy katolicki proletariat nauczony najprostszych zasad wiary i pacierza przez matkę-wyrobnicę, wykształcony przez wyzysk i nędzę — staje przed taką samą próbą katolicyzmu społecznego, jak i ci, od których zależało unicestwienie proletariatu przez jego uwłaszczenie?

Oby nie zacząć obliczać mylnie. Oby nie stać się gromadką katolickich pięknoduchów o sercach burżujów i nie wykreślić lekką ręką tych wszystkich, którzy odchodzą i odwracają się od kapliczek zakłamania, w których palą się dwie świece: — Bogu i diabłu.

Konieczne cele — to konieczność reform. To otworzenie księgi historii chrześcijaństwa na najpiękniejszych kartach.

> „Chcemy współpracować z poczucia katolickiego nad wprowadzeniem takiego ustroju społecznego, w którym by nie było ani przywilejów, ani krzywd, ani proletariatu, ani bezrobotnych..."
>
> (Kardynał August Hlond, Prymas Polski).
>
> 23.X.1945.

Na kartach walki o wolność człowieka, o jego prawo do życia, potępienia egoizmu i pychy, franciszkańskiej prostoty i poświęcenia, bohaterstwa walczących o świętość.

W księgach historii chrześcijaństwa są karty o przeprowadzeniu reform największych w świecie.

I bodaj nigdy bardziej, jak obecnie, gdy razem z odchodzącym katolicyzmem głodnych grozi odejście Boga — nigdy bardziej nie istniała konieczność przeprowadzenia reform, zawracających społeczne życie katolickie ku Prawom które ku chwale swojej i pożytkowi człowieka ustanowił Bóg.

Aby przybliżyć rzeczywistość ku idei, aby rozproszyć chmury przesłaniające słońce.

Witold Bieńkowski

Włodzimierz Pietrzak

O powołaniu pisarza

La critique du passé est une critique de jugements, la critique du présent, une critique d'accusation et de défense.

Albert Thibaudet

1.

Wobec literatury równie nie należy być pobłażliwie wyrozumiałym, jak bezwzględnie apodyktycznym. Rozgrzeszanie wszystkiego, pobłażliwa wyrozumiałość, zaciera w końcu rysy naszej własnej odrębności, neutralizuje smak. Nigdy nie może podobać się wszystko, jak jednocześnie nie można kochać dwu kobiet. Trzeba umieć zdobyć się na wybór. Umiejętnością wyboru jest właściwie, niczym innym, cała kultura. Ten wybór nie powinien następować, jako wynik apodyktycznego nakazu, który potem uzasadnia się ex post —i przez nos, mamrocząc słowa takie, jak: wielkość, konieczność, zasada. Wybór jest kwestią wewnętrznej dyskusji, potyczki argumentów i skłonności uczuciowych. Tak, kultura nie jest w całości racjonalistyczna, mimo, iż przedstawia świadomość. Nic podobnego, logika na szczęście nie jest jedynym prawodawcą w sferze świadomości. To dobrze, to pocieszające.

Gdy chodzi o sztukę, nie istnieją zasady, poza zakresem teorii noweli czy teorii wiersza. Dotyczą budowy opowiadania, czy organizacji metru, nie wyjaśniają niczego z zakresu estetycznego odczuwania. Mają wartość teorii, zrobionej obok rzeczywistości i nawet trochę na przekór, aczkowiek bez złośliwości, przeciwnie: z najlepszą wolą. W literaturze szczególnie nie wystarcza czynność przymierzania do wzorów, do jakichkolwiek ustalonych prawideł. Doświadczenie estetyczne niemal nie istnieje, zawsze stajemy wobec zupełnie nowej konieczności sądzenia, w nic nie uzbrojeni. Literackie oceny w imię przyjętych założeń, owe oceny apodyktyczne, strzelają obok celu. A nawet gdy są słuszne, są tak nieciekawe, że nie mają siły przekonania o swej słuszności. Wzrusza się nad nimi ramionami, to jest zresztą bardzo podłe i nonszalanckie, że człowiek tak często wzrusza ramionami. nie ma do tego prawa, powinien być bardziej rzetelny. Spójrzmy w sumienia, kto z nas przejmuje się formułą o powinności? Tego się nie słucha, chyba we własnym interesie, dopiero wtedy. Nonszalancja to nie to samo, co kpiny. Nonszalancja, to jest pomniejszająca obojętność, wzgarda.

Nie trzeba aż czytać myśli Pascala, by powiedzieć, że człowiek nie ma prawa do wzgardy, korzysta z niego tylko dlatego, że jest powierzchowny, że nie myśli do końca. Wobec rzeczywistości człowiek jest zawsze w pewien sposób niedojrzały, niegotowy. Życie domaga się co chwila rozstrzygnięć natychmiastowych. Nie powinno się tak postępować, jeżeli się chce uniknąć wyników przypadkowych, niesłusznych, fatalnych, urodzonych z nurtów chaosu. Musimy rozstrzygać, nikt nam nie zostawia czasu do namysłu, nie pozwala zwlekać. Naporowi życia przeciwstawia się tylko — niegotowość, przypadkowość i to nie jest nic usprawiedliwiającego, nic łagodzącego. Jednak, każde ludzkie przeżycie, mimo że tak nie reżyserowane, tak nieprzygotowane, ma znaczenie absolutne. To znaczy, zawsze istnieje odpowiedzialność, nie można się od niej uwolnić.

Nie jest wykluczone, że artyzm bierze się właśnie z tej niemożności przeciwstawienia światu doskonałego aparatu sądów, naszych decyzji w trybie równie doraźnym. szybkiej reakcji, jak bezwzględnym. Że artyzm jest pewnego rodzaju gonieniem życia ,obracaniem się poza siebie podobnym do niespokojnej ciekawości żony Lota. Ale nie sam artysta zamienia się w posąg. W twórczości artystycznej, obojętne, czy to są portrety Modiglianiego, czy „Fontanna Aretusy", zawarta jest próba ustalenia stosunku człowieka do tego, co jest niejako poza nim, co zamieniło się w jego wewnętrzną przeszłość. Czas jest formą, w jakiej ukazuje się istnienie. Każda myśl i każdy czyn są niepowrotne.

Ale sztuka pozwala na nawiązywanie na nowo nici przerwanej, na podejmowanie dyskusji z życiem, które przeszło, lub którego wogóle jeszcze nie było i nawet nie będzie. Daje sposobność do stawiania pytań, do nadawania bezwzględności zjawiskom i zagadnieniom, które w ich układzie życiowym wydawały się tak tymczasowe, tak nieostateczne. Stawianie pytań: właśnie ton odpowiedzi, nawet nie tyle sama odpowiedź daje miarę moralną naszej świadomości. Ton stanowi ramę, jest ujęciem chaosu w porządek, w proporcje. To proporcje, które mają w sobie zarodek przemiany, chwycone w chwili ich kulminacyjnej wyrazistości. Piękno ma charakter świadomości moralnej. Budzi uczucie zastygającego podziwu i jak gdyby bezradności. Rzecz piękna nie daje się inaczej pomyśleć, nie może mieć innego układu, innej formy. W pięknie istnieje coś z przymusu, tego — tak, a nie inaczej.

Sztuka jest buntownicza w stosunku do przeżycia; poprawia je, przerzuca jego elementy. Ten bunt wydaje się także nieuchronny, także z przymusu. Kopia, powtórzenie, nas nie interesuje: za to obchodzi punkt widzenia, punkt obserwacji. W tym właśnie sensie jest sztuka organem tworzenia kultury.

Obraz artystyczny zawiera zawsze jakieś aluzje do rzeczywistości, jakiś materiał dowodowy. Sztuka nie znosi abstrakcyjności, dąży do plastyczności, do kształtu; nie do pojęcia. Ostatecznie w dziale literackim nie chodzi o konflikty, nie o ich rysunek i potępienie czegoś czy kogoś, lecz o koncepcję rozwiązania, o ugaszenie pożaru, o wzór jak się zdobywa wobec życia świadomość i postawę, uniezależnioną, wykrystalizowaną. Sztuka — to kiedyś było tylko naśladowanie, w prymitywach, w pierwszych próbach powtórzenia świata. Ale potem powstał mit czyli szukanie koncepcji — jak żyć, co ściąga karę, jaka jest granica ludzkiej swobody, ludzkiej wolności.

Od pisarza napewno oczekuje się czegoś jeszcze, niż tylko narracji i popisu. Narracja, rzeczywistość, wyobraźnia gotowa do błyskotliwych wynalazków — owszem, to także. Jednak, być pisarzem to nie tylko zbierać materiał dowodowy. To znaczy życie oskarżać i prześladować lub chwalić w podziwie dla jego szorstkiej surowości. I szukać, osiągnąć — jakąś koncepcję duchowej postawy, koncepcję sądzenia i życia. Zabawni są ci intelektualiści. Piszą przede wszystkim o koncepcji sądzenia, potem dopiero życie. Dlatego nic mogą żyć, nie umieją zwyciężać, to nawet głupstwo, nie umieją do niczego dochodzić. Zbyt długo zajęci są poszukiwaniem teorii. Nie, nie wystarczy narracja, najbardziej przekorna i wyszukana. Przychodzi się z głodnym pytaniem — jakie to jest, jakie jest?

Do tej odpowiedzi nie wystarcza się przygotowywać kuciem po nocach na pamięć podręczników filozofii w XVIII, ekonomii w XIX, socjologii w XX stulecia. Nie wystarczy też powtórzyć, opisać przeżycie — biorąc je psychologicznie lub fizjologicznie. Coś więcej — tworzenie mitu, naśladowanie mitu. Mitotwórstwo — oto co jest na dnie epopei, dramatu. Istotą mitu nie jest jednak jego anegdota, lecz koncepcja życia, której wcieleniem jest bohater mitu. Koncepcja życia — te słowa zostają z początkowych rozważań.

2.

Dlaczego jednak powstaje mit artystyczny, ściśle biorąc, jak powstaje, jaka jest jego geneza? Dilthey stawiał sprawę w ten sposób, że twórczość jest wywoływaniem wzruszeń i wspomnień przeżytych, gdy siła ich w człowieku staje się taka wielka, że domaga się ujścia na kształt spowiedzi. I tak, i nie. Niewątpliwie, twórczość artystyczna jest procesem organizowania przeżyć. Każdy wie jednak, że literatura to nie tylko pamiętniki. Odczuwa się zawsze olbrzymią niedostateczność anegdoty. Treścią artystyczną jest klimat patrzenia, nowe sposoby łączenia zjawisk — nie formalne, literackie, lecz moralne. Krótko mówiąc, sposób pojmowania życia. Każdy człowiek, inaczej widzi życie, inaczej widzi to wszystko, czego się od niego życie domaga. Pisarz wydobywa to „inaczej", te dziwne maniery życia wobec człowieka, łączy je w jakiś styl, w jakąś koncepcję charakteru, koncepcję postępowania lub tylko myślenia.

Czy ta koncepcja musi być przede wszystkim nowa? Należy się opowiedzieć za oryginalnością, pamiętając jednak, że sztuka nie jest rodzajem historii naturalnej ludzkich umysłów. Wartość dzieła sztuki nie polega wyłącznie ani na robieniu odkryć, ani nawet na nowym widzeniu rzeczy, na nowych perspektywach. Coś może być nowe, a bardzo nie ciekawe. Odkrycia i wynalazki są w literaturze produktem ubocznym i drugorzędnym. Niebezpieczeństwo rzeczy drugorzędnych jak wiadomo polega na tym, że gdy tylko przyznamy im prawo do istnienia, nazbyt łatwo zaczynają uchodzić za samą istotę rzeczy. Literatura nie jest poto, aby odkrywała Kamczatkę; może to robić mimochodem, lecz jej zadanie jest inne: pokazywać człowieka jako ośrodek mitu.

Istnieje silna tendencja, aby w twórczości artystycznej nie widzieć nic innego jak rekompensację psychiczną — przez wcielenie się w możliwość, którą życie ominęło lub podeptało. Jest to pomysł niejako uzupełniania własnego życia przez sztukę, dobudowywania go marzeniem. Pogląd ten bierze pisarza jako kogoś samotnego, nie mającego środowiska socjalnego. Oczywiście, samobójstwo izolacji społecznej zawsze można popełnić, gdy komuś przyjdzie na to kaprys lub ochota. Mit samotności pisarza jest gestem kabotyńskim i należy do rekwizytu epoki nagiej duszy. Dusza nigdy nie jest naga, zawsze istnieje oddziaływanie społeczne, istnieje stan zakażenia życiem innych, to znaczy kulturą, to znaczy związaniem społecznym. Izolacja społeczna płynąć może z zarozumiałego przeświadczenia, że tylko nasza świadomość ma wagę, a reszta jest zamówionym cyrkiem, który by nie miał sensu, gdyby publiczność przestała kupować bilety. Dlatego właśnie egotyzm jest formą kulturalną egoizmu.

Inną formą izolacji społecznej jest przeświadczenie, że kultura stanowi rodzaj prywatnego parku, o dużej autonomii, a sztuka rodzaj intelektualnej igraszki, czyli służy tylko przyjemnościom: smakom świadomości, nastawionej na komplikację i niecodzienność wrażeń. Sztuka występuje tu jako narkotyk intelektualny — jak u Irzykowskiego, jako rodzaj perwersji i wstrząsu — jak u St. I. Witkiewicza. Nie wiem zresztą, czy to są zupełnie sprawiedliwe przywołania, to bezwzględnie trzeba będzie sprawdzić.

W każdym razie, wtedy dopiero, gdy świadomość kulturalna traci poczucie ciągłości dziejów, gdy zaczyna traktować życie i świat jako stojący staw — rodzi się pojmowanie sztuki jako organu komplikacji, jakby w literaturze chodziło o mnożenie labiryntów. Szuka się wtedy nie ostrych świateł (piękno jest ostre, umie rozstrzygać), lecz cienia, lecz zatarcia kształtu, niezdecydowania, wszystkich dziesięciu okazji, wszystkich prawd częściowych.

Ten, kto chciałby żyć tylko z siebie i dla siebie, popełniałby kazirodztwo. I tak się właśnie poczyna kulturalna degeneracja, gdy egzystencji zbiorowej przeciwstawia się własną wegetację. Jeżeli by odnieść artyzm do problemów przeżycia, sztuka byłaby tylko deformacją. To płytka prawda. Jeśli kursuje w opinii, to dlatego, że opinia polega właśnie na tym, że tylko nieliczni mają odwagę myśleć we własny sposób. Inni powtarzają się z jedyną ambicją: być a la page, nie wyróżniać się od otoczenia.

Twórczość literacka powstaje ze wszystkiego: z plotki, usłyszanej przelotem w tramwaju, z żalu za jakiś niecofniony postępek, z abominacji do siebie, z uczucia rozpaczy na widok zaniedbanego dziecka na progu brudnej wiejskiej chaty na Podhalu, z poczucia radości, jaką daje walka, ścieranie się dwu sił, pościg ostateczny. Ale w literaturze nie chodzi o żaden z tych fragmentów, ani o to co ono reprezentuje, lecz o coś więcej: o powiązanie ich w całość, w mit, to znaczy w analizę pewnego stylu życia, pewnej postawy. Literatura — to mity. Krytyka literacka jest wielką dyskusją o mitologii. Doprawdy krytyka ma coś wspólnego z historią, oczywiście nie tą, której szkieletem jest chronologia. Z historią świata. I zapewne dlatego w ostatnim czasie literaci tak zajęli się historią.

3.

Puszcza literacka ma swoje wewnętrzne kiplingowskie prawa. Powszechnie znane są silne niechęci czy nawet nienawiści, powstające między pisarzami,

Aleksander Rymkiewicz

Wieczór i ranek

Kiedy już zachód, to pod boru ścianę
sfruwały domki, jak kuropatw stado.
Swawolna wstążka na maliny spada
i twarz dziewczyny znika roześmiana.

Księżyc wychodzi rdzawy z moczarów
i błyska miedzią gałąź u dołu.
Psy węszą. Okno pod borem miga,
przez las daleko stuka koło.

Rano otwarta pochodom dolina.
Obok łożyska czarnego potoku
niezapominajek chmury leśne
podkuta noga do ziemi przegina.

Rwie się spłoszone ptactwo nad wodę
— i zadziwiony pięknością widoku
przystaje żołnierz obcego narodu
i nieruchomo patrząc, żuje chleb.

zwłaszcza tam, gdzie tworzy się pole rywalizacji. Stosunki Goethego i Schillera należały do rzadkości. Szczególnie wybitni pisarze chętnie korzystają z chmurnej samotności bogów, unikają tej popularności, taniej i łatwej, jaką daje zażyłość z ludźmi, dobre stosunki. Z jaką pasją pisał Balzac w „Córce Ewy" o „galerach ambicji", gdzie cierpią pisarze na widok cudzych sukcesów. „Kiedy tyle młodych ambicji wyruszyło pieszo i wszystkie naznaczyły sobie schadzkę, muszą wyniknąć z tego niesłychane walki". Niektórzy pisarze liczą się tylko z potomnością, dużo mniej żyją dla współczesnych. Stendhal pisał dla tych, którzy żyć będą w osiemdziesiąt lat po nim —i nie przeliczył się. Wielu innych przeliczyło się. Sława Danta i Woltera trwa nadal, ich żywe znaczenie jednak bardzo się zatarło. Na dobrą sprawę jak dotąd literatura ma kilka tylko wiecznych postaci: Ewangeliści, Homer, Szekspir. Ale istnienie Homera i Szekspira budzi coraz więcej sporów. Być może, dlatego są wieczni, że nigdy nie istnieli, że powstali z jakiejś mądrości zbiorowej wędrownych pieśniarzy, wędrownych trup teatralnych.

Właściwie, tego się wcale nie wie i nie uświadamia, że pisarz jest kimś tak bardzo wyrosłym spośród środowiska społecznego. Jeżeli żyją wiecznie Homer i Szekspir, to pewnie dlatego, że wcielili w siebie, w swoje dzieło, własną współczesność. Jest rzeczą jasną, że nie temat decyduje o wielkości pisarza, lecz sposób wykorzystania materiału i to coś jeszcze: ów uśmiech drwiący i znużony Rimbaud'a, który poeta potrafi nam narzucić, w imię którego nad nami panuje... Widzenie świata, gdyby mówić krótko.

Czy widzenie świata u Szekspira ma naprawdę w sobie coś pozaczasowego, właściwego wszystkim pokoleniom? Zapewne, po prostu chodzi o to, że każde pokolenie odnajduje coś ze siebie w Szekspirze, w „Burzy" i w „Hamlecie". Ale nie wartoby się trudzić o sporządzenie recepty na wieczność. To ryzyko przemijania istnieje. Powiedziałbym, że mniej dotkliwie dla tych, którzy skromniejsze mają ambicje. Należy mieć bardzo wielkie ambicje, ale pisać tak, jakby ich wcale nie było. Pisanie jest tylko innym sposobem rozmowy z kimś, kogo się bardzo kocha. Kogo się kocha nawet w pustym szalonym domu. I z tego punktu widzenia jest obojętne jak długo tekst literacki pozostanie z potomnymi.

Oh, literatura z myślą o wieczności! — jak nudne kazanie. Istnieje nakaz śmiania się z takiej literatury na głos.

Pisać, po prostu pisać! Nie grozi tu znowu takim zalewem, potopem: krytyka literacka korzysta ze swego prawa odstrzału, grzmi z obu luf. Oko Nemroda, niechybnie. Można zaufać krytykom. Wziąwszy ich statystycznie, zwykle mają rację.

4.

Między klanem pisarzy, a klanem krytyków panują złe stosunki, jeżeli maskowane, to przez pisarzy. A i to niezawsze: wybuch niechęci i złości Żeromskiego w stosunku do Brzozowskiego, wyniosłość miażdżąca z jaką autor „Popiołów" potraktował autora „Legendy", jest bezprzykładna, nawet gdy wspomnieć stosunki między pseudoklasykami warszawskimi a wileńskim nurtem romantycznym. Rywalizacja tych dwu klanów odbywa się na koszt pisarzy, a nieraz parafia jest chuda i sam pleban zębami dzwoni.

Właściwie, pisarz i krytyk mają rozgraniczone pole ambicji. O krytykach można powiedzieć, że nie chodzą pieszo, lecz wcale wygodnie jeżdżą cudzym autem. I może tutaj leży sedno zagadnienia: istnieje waśń między przechodniami a automobilistami, choć K. I. Gałczyński twierdzi, że lepiej chodzić pieszo. Jego głos w tej sprawie, głos poety, powinien być ważny.

Na ogół jednak pisarze nie są pewni swej pozycji wobec krytyków, czują się bezbronni, wydani na napaść. Gorsze jeszcze, gdy krytyk nie rozumie utworu lub jego intencyj i zbacza ze śladu. Krytycy są przecież omylni i nieraz ich potępienie nie ma znaczenia dla przyszłości. To jest pociecha. Ale i zachwyty krytyków bywają tylko konjunkturalne; przyszłość ich nie pamięta. To pociecha dla zazdrosnych.

To też pisarze nie mają szczególnego zaufania do krytyków, rozmawiają z nimi na dystans. Złośliwie im wypominają, że krytycy są tylko skrachowanymi poetami, którym się nie udało, a więc — dorabiają się teraz ostróg literackich cudzym kosztem. Jak taki może być mentorem? Zarzutów i naświetlań krytycznych nie biorą zbyt serio. Najdogodniejszy i najbardziej lansowany przez pisarzy jest krytyk, który po prostu rozprowadza myśli i wątki autora. W ten sposób otrzymujemy coś niższego niż utwór krytyczny: recenzję, streszczenie, sprawozdanie kipera smaków w winiarni.

W tym razie krytyka musi zrezygnować z wszelkich pretensyj do samodzielności artystycznej! Istotą samodzielności rodzaju literackiego jest formalna swoboda, czy tej swobodzie wystarczy forma reportażu z wrażeń, odniesionych przy czytaniu? Reportaż krytyczny, owo rozprowadzanie autorskich wątków, będzie zawsze bezsilne wobec moralistów, wobec Montaigne'a jak Dostojewskiego. Ich niepodobna ani streścić, ani skomentować.

Odmawianie krytyce samodzielnej roli literackiej spycha ją na drogę niebezpieczną, na drogę komercjalną. Krytyka, pozbawiona autorytetu niezawisłości, staje się narzędziem w rękach wydawców, orędzie krytyczne stanie się ogłoszeniem, reklamą jak dla filmu. Krytyka literacka wyrosła na tle przemian w organizacyjnej stronie literatury naszych czasów: powiększenia się ilości wydawnictw, ilości czytelników i pojawienia się prasy. Jej zadanie w pierwszej chwili polegało na udzielaniu rad i notowaniu pozycyj bibliograficznych. Potem doszło jednak do dyskusji o mitologii.

Przedmiotem krytyki jest zawsze samo dzieło literackie. Sztuka ukazuje rzeczywistość jako zakrzepły, sformowany kształt historyczny, jako następstwo poprzednich pokoleń. Wysiłek pisarza jest w porachunku z tą rzeczywistością, w wyroku, jaki on wydaje na siebie i na nią. W sztuce istnieje nietylko motyw przedśpiewu, motyw potęgi zachwytu. To nieprawda, że symbol artystyczny należy, odczytywać na własną odpowiedzialność każdemu z czytelników. Wizja artystyczna tworzy prawo moralne, to proste. Klimat Lorda Jim'a i klimat ludzi dobrej woli Romains'a.

Nikomu się nie zaleca męczyć nad definicją odwagi. Ale żyć: to nie znaczy wcale nie wiedzieć co się czyni przez większą część życia. Nasza świadomość— to nieustanny sąd nad sobą, to literatura, to wyrok. Nieostateczny — właśnie krytyka literacka jest tym trybunałem, który podejmuje dyskusję.

Krytyk nie jest doradcą literackim pisarza, z założenia nie może być korepetytorem i dlatego jest rzeczą drugorzędną przekonanie pisarza, że krytyk ma słuszność. Krytykowi chodzi o czytelników, o swoich czytelników, krytyk pisze dla nich własne dzieło: dyskusję o mitologii, inaczej ujętą, z innego punktu zaczepienia. W t. zw. twórczości oryginalnej mamy mit bohatera literackiego, śledzimy perypetie, katastrofę i katarsis. W krytyce powinno być sumienie mitu. Turgieniew napisał, że pouczać i ganić ma prawo ten tylko, kto kocha istotnie, czyż można się powstrzymać od uśmiechu, patrząc na tchórzów, którzy się męczą nad definicją odwagi?

Muzyka budzi widma. Krytyka jest takim widmem literatury, rozmową z jej światem pozagrobowym. Od spirytystycznego medium wymaga się tylko tych specjalnych zdolności usypiania i łapania kontaktu z duchami. Krytyk musi rozporządzać nie tylko smakiem literackim, inwencją, ale i pewnego rodzaju erudycją, dużym układem odsyłaczy i porównań. Dlatego poeci rodzą się łatwo jak grzyby po deszczu, a krytycy z prawdziwego zdarzenia przychodzą rzadko.

5.

Jedno, jeszcze jedno, powołanie pisarza ma przeznaczenie społeczne. Każdy z nich zostaje w historii kultury jak motyl w gablotce i nie o ten sens umotywowania społecznego chodzi. Nie o to tylko, że środowisko wyłania pisarza, ale o to, że pisarz ma wobec środowiska społecznego długi, które musi spłacać, które powinien spłacić. Jeśli potrafi, jeśli może...

Dwa są rodzaje publicznej służby pisarza: przez własne dzieło i przez publicystykę. Nie chodzi nawet o to, że pisarz powinien być wrażliwy na krzywdę, jak prawdziwy trybun ludowy. Ale o związek z cywilizacją, wydaje się, że mit bohatera musi być głęboko zrośnięty z ciągiem rozwojowym cywilizacji. Powinien pozostawać w stosunku do niej w związku dialektycznym i brać z niej — i wybiegać naprzód, w ten sposób pomnażać nie tylko wiedzę moralną. Pomnażać cywilizacyjne bogactwo.

Istotą bytu jest walka. Dobrze jest zdawać sobie z tego sprawę. Nie wiemy, czy żyje się po to, aby wkońcu być ze swej drogi bardzo zadowolnym. W ten sposób można by ułaskawić życie każdego filistra. Żyje on po to, aby zostawić po sobie ślad, smugę na śniegu. Ta smuga jest dla wszystkich. A co dla siebie? Nie ma człowieka, któryby był wyprany tak zupełnie z myśli o sobie, z nadziei dla siebie. Sława? Ów gwiazdozbiór odległy, nazwany włosami Bereniki, jako pamiątka człowieczego istnienia? Tak jest daleko do gwiazd, skąd ludzie wiedzą, jak one się nazywają — pytają dzieci w książce Czukowskiego. Sława jest czymś, co przychodzi za darmo, co nie powinno obchodzić. Sława to jest rodzaj pogrzebu, jaki nam urządzą. Śmieszne jest kłopotać się o rodzaj pogrzebu, o ilość świec i koni w karawanie.

Wystarcza djonizyjskie odczucie życia. To jest wielki nieoczekiwany dar, szczęście. Przyjemnie jest być obdarowanym. Sądzę, że szczęścia nie można zdobyć, ani osiągnąć. Można je dostać. Zdobyte — jest jak niewolnica, nigdy nie można go być pewnym, jest zależne, jest z przymusu. Ale czy można mieć prawo do daru? To jest nieobliczalne i nie zasłużone nawet.

Przychodzi gest sceptyczny i owo timeo Danaos et dona ferentes. Nie, to już za dużo ostrożności. Nigdy nie należy być uległym, ani ostrożnym. Nie oglądać się, nie obliczać, nie mierzyć. Jeśli nawet zatrute są dary greckie, to trucizna działa dopiero później, po upływie tej chwili, która jest kulminacją, nagrodą, ukojeniem. Bo szczęście — to właściwie ukojenie, nasycenie. Pogoda serca.

Silny człowiek może chorować, nie pozwoli się zatruć śmiertelnie. Nie wiadomo jednak, czy powołanie pisarza dźwignąć może silny człowiek. Potrzeba do tego choć trochę jadu mieć w sobie; jad — oto co znajdziecie po śmierci w sercu artysty. Nie wiem, jaką on ma nazwę — peyotl, dollantyna, niepokój. Będzie się palił srebrnym ogniem nawet po śmierci. Istotą jego jest nieugaszenie.

Włodzimierz Pietrzak

Jerzy Zagórski

Ballada najkrótsza

Panie! Tych kilku chłopców chroń
Zanim ich gminna pieśń ukocha,
Którzy w czterdziestym trzecim roku
Za Bug ponieśli kruchą broń.
Nim drzew korony pokrył liść,
Ledwie wiosenna zeszła woda —
W niepewne jutro garstka młodych
Umiała w owym roku iść.

P r z e s ł a n i e:

Gdy ziemia wokół pustoszeje,
O Panie, miecz i kulę osądź,
A mnie Kiplinga pozwól strofą
Opiewać mego kraju dzieje.

Napisane na wymarsz oddziałów Uderzenia w 1943 r.

Maciej J. Kononowicz

Szyfr o Ojczyźnie

Noc — krzak kwitnący gwiazdami
Dzień — owoc słońcem nabrzmiały
Życie — puste głodne ręce
Nic więcej?

Krzyż oparty ukośnie
Ziemia razy niebo
Wsie ciche — miasta głośniej
Modlitwa: „powszedniego"...

Pięść — odprysk stali
Na muszce błysk słońca
Serce co pali — pieśń gorejąca
Marsz — taniec mocarzy
Oczy — rym ogni na twarzy
Sztandar ne mieczu płonący
Pięści — serca — i oczy
I zamknąć można to w słowo
Którego zakres i treść
Życie moje. walka i pieśń —
P o l s k a.

O odbudowę kościoła św. Doroty we Wrocławiu

Do najpiękniejszych zabytków architektonicznych Wrocławia należy kościół św. Doroty, którego budowa sięga połowy XIV wieku. Kościół wysokości 25 m, długości 83 m., i szerokości naw — 21,5 m., wybudowany i ozdobiony przez polskich mistrzów, poniósł dość poważne szkody w czasie działań wojennych, lecz może być stosunkowo szybko odrestaurowany.

Energiczna i pełna ofiarności praca pierwszego od setek lat polskiego proboszcza tego kościoła, ks. Kazimierza Lagosza, oraz współpraca Komitetu, zorganizowanego pod przewodnictwem wiceprezydenta miasta, Drobuta, doprowadziła już obecnie do oczyszczenia z gruzów i zabezpieczenia przed zimą tej pięknej zabytkowej budowli. Jednakże piękne wnętrza stylu barokowego i rococo, kryjące się pod szatą architektury późno-gotyckiej, wymagają wiele jeszcze zachodu i starań. Kamienne żebra u okien, sklepienia i łuki, poszarpane przez pociski proszą o zasklepienie ran, kraty muszą być wyprostowane, okna oszklone. Później dopiero wrócą na swe miejsca bezcenne dzieła sztuki, z których część udało się już inicjatorom odnaleźć i zabezpieczyć.

Dotychczasowe prace dokonane zostały dzięki przyznanemu niewielkiemu kredytowi państwowemu oraz ze składek ofiarnego społeczeństwa. Dalszą odbudowa musi być prowadzona intensywnie, gdyż zaprzestanie prac mogłoby spowodować zaprzepaszczenie dotychczasowych osiągnięć. Dlatego też Komitet Odbudowy zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli o udzielenie swej pomocy dla zabezpieczenia tego zabytku. Wszelkie datki przyjmowane są z wdzięcznością za pośrednictwem P.K.O. Oddział w Wrocławiu, konto czekowe VIII — 160.

Komitet Odbudowy Kościoła św. Doroty we Wrocławiu

Juliusz Kędziora

Sztuka w życiu narodu

Jest w naturze biologiczny pęd do zachowania gatunku. Podlegający temu prawu człowiek, który składa się nie tylko z materii, ale i z ducha, pragnie twory tego ducha utrwalić i przedłużyć w pracy naukowej, dziele literackim, w utworze muzycznym, w pomniku, w obrazie.

Skłonność ta wyrażona w skali narodu tworzy kulturę. A wyrażona w zasięgu pewnej liczby narodów, pomnożonej przez czas, rozrasta się do pojęcia epoki.

Wiemy jednak, że giną i przepadają pewne gatunki fauny, czy flory naszego globu.

Wiemy, że giną i przepadają dzieła poszczególnych ludzi, tak, jak przepadają całe narody. Po jednych zostaje wspomnienie i legenda, po innych ślady kultury. Inne wreszcie narody wybłysnąwszy w pewnym okresie swego istnienia potężnymi dziełami Sztuki, jakby wyczerpane, przechodzą do zwyczajnego życia, pozbawionego wielkich podmuchów ducha ludzkiego.

W tym zanikaniu narodów całkowitym, czy częściowym, jedno jest oczywiste: o wiele łatwiej ulegają procesowi rozkładu te narody, których kultura niska albo żadna, nie wniosła nic pozytywnego do skarbnicy ogólnoludzkiej.

I tak np. Tatarzy w pewnym okresie swego życia narodowego stają się tak potężni, głośni dla Europy, a przecież kończą się szybko (w skali historycznej), zanikają i dziś nikt nie mówi o narodzie tatarskim, choć jego potomkowie żyją. Podobnie Turcja. Wielkie mocarstwo, u schyłku średniowiecza i na początku czasów nowożytnych zagrażające Europie w stopniu daleko większym niż Tatarzy, spłynęło z ziem zabranych, osłabło i groźby dla nikogo nie przedstawia, aczkolwiek jest żywe swoją dawną kulturą. Państwo Wielkomorawskie: powstało na krótki okres czasu, zabłysnęło potęgą i zgasło. Pozostała po nim legenda. Jedno z najpotężniejszych państw na świecie w znaczeniu wielkości swojej kultury — Grecja — wciąż jest żywe tą właśnie kulturą.

Tak możemy mnożyć przykłady poprzez Egipt, Assyrię, Fenicję, Rzym.

Zastanawiając się, utknąć wreszcie wypadnie na tym, co nam jest najbliższe i najdroższe, t. j. na Polsce. Jakie było jej życie, jakie jest, jakie będzie, względnie, jakiegobyśmy dla niej pragnęli?

Przed tysiącem lat, z niebytu dziejów zjawia się Polska nagle jako twór już zorganizowany, bodaj że na najwyższym poziomie organizacji w całej ówczesnej Słowiańszczyźnie. Widzimy, jak ten nowy twór rozrasta się, dzięki swojej prężności, na wewnątrz, jak chłonie wszystko co niesie ze sobą kulturalniejszy duch zachodu. Widzimy, jak następnie rozrasta się na zewnątrz nie podbojem, ale tąże właśnie kulturą wojując (Litwa, Ruś). Jak następnie wzmocniony dzięki temu, dochodzi do potęgi jednego z największych mocarstw w Europie, sięgając od morza Czarnego po Bałtyk. Obszar Polski za Jagiellonów wynosi ponad milion klm. kwadr.

Obserwujemy, jak potym zaczyna się kurczyć terytorialnie, jak sąsiedzi odłupują kawał po kawale naszej Ojczyzny, jak ona wewnątrz pauperyzuje się społecznie, politycznie, gospodarczo, kulturalnie.

Aż wreszcie przychodzi czas, że Polska, na karcie Europy nie ma swego imienia.

Lecz w tym czasie dzieje się rzecz dziwna, bodaj niespotykana w dziejach ludzkości. Okres, który — zdawałoby się — nie może sprzyjać rozwojowi Sztuki, przynosi potężny wybuch geniuszów polskich z Chopinem, Słowackim, Mickiewiczem, Matejką na czele.

Może to robić wrażenie drzewa śmiertelnie ranionego, które wszystką swoją żywicę wysyła na ratunek w zagrożone miejsca. Zagrożonym był duch. Politycznie, mogła Polska nie istnieć, ale dopóki żył duch Narodu, Polska nie zginęła. Pod grobową płytą, pod którą złożono jej ciało, waliło potężne serce ducha Narodu, rozdzwonione przez geniuszów, przez ich miłość i pracę.

Nie może być [illegible], że okres międzywojenny nie wydał w Polsce nic wielkiego. Naród wysilił się w swoich wielkich duchach, a po wielkim wysiłku nastąpić muszą objawy zmęczenia.

I oto zbliżamy się do chwili obecnej.

W kataklizmie wojennym jakiego nie zna ludzkość i Polska przeszła swój największy kataklizm. Obozy koncentracyjne, roboty przymusowe, emigracja, masakra i łapanki w kraju, walka z wrogiem na wszystkich frontach w powietrzu i na morzu, na ziemi i pod ziemią. To wszystko, do głębi przeorać musiało ducha ludzkiego i ducha Narodu. Polska wyszła z tej zawieruchy pogruchotana gospodarczo, rozbita militarnie, lecz duch, ten duch nieugiętego oporu znalazł uznanie całego świata.

Ale z uznaniem jest podobnie, jak z grą genialnego aktora. Choć wnosi wartości pozytywne, choć działa w duchu piękna, trwałych, widomych znaków nie pozostawia. Przechodzi w piękną opowieść, w legendę, wreszcie zanika. A nam chodzi o wartości nie przemijające, ale stałe.

Oczywiście, że pojęcie stałości jest względne. Myślę jednak, że kaplica Sykstyńska jest nam pojęciowo bliższa, niż gra genialnego aktora sprzed stu lat.

Dlatego też oglądając się poza siebie w dzieje Polski i wpierając się mocno w teraźniejszość naszej Ojczyzny, wzrok wypatruje przyszłości. A zakrytej nie mogąc dojrzeć, próbuje rozumem rozświetlić.

Duch ludzki na ogół niema tak wyraźnego oblicza, jak je ma dzień, albo noc. W tym duchu dzień z nocą mieszają się i zacierają kontury swoich właściwości.

A jak Bóg, niewiadomym nam kataklizmem kosmicznym wywiódł światło i rozdzielił noc od dnia, tak kataklizm ducha rozdziela w tym duchu złe od dobrego, aby wyzwolone pokazały swoje prawdziwe oblicze.

I wiemy, bośmy widzieli i doświadczyli teraz, podczas ostatniej zawieruchy: że byli, którzy złamani przez huragan upadli w cień zaprzaństwa, zdrady i egoizmu. A byli, którzy zajaśnieli chwałą bohaterstwa, altruizmu, wytrwałego oporu. I było wielu, którzy zapłonęli tak, jak płonęły świeczniki chrześcijaństwa.

Przemiana była powszechna i dotknęła wszystkich, bez wyjątku.

Ale czymże ona się utrwali, jakże się przyszłym pokoleniom opowie?

Duch ludzki twórczy jest wszędzie. Odnaleźć go można łatwo w pracy naukowca, inżyniera, lekarza, czy nauczyciela. Odnaleźć go można wszędzie tam, gdzie motorem poczynania jest miłość. Lecz bezwątpienia, najczystszy jego wyraz odnaleźć możemy w Sztuce.

Od jaskiniowców, rysujących swoje mastodonty na ścianach skalnych, poprzez piękne formy tworów kultury łużyckiej, aż do osiągnięć kolorystycznych Van Gogh'a, czy formalnych Ingres'a, od tam-tamów murzyńskich do uduchowionej muzyki Bacha, od pierwocin literatury assyryjskiej, pisanej na cegiełkach, do Słowackiego, czy Mickiewicza, od menhirów, poprzez piramidy egipskie, aż do najwspanialszych okazów architektury gotyckiej, zawsze Sztuka była najczystszym wyrazem ducha ludzkiego.

Przesuwały się granice państw, przepadały narody, a dzieła piękne — jeżeli były — pozostawały i one mówiły o wielkości narodu i one świadczyły o jego potędze gospodarczej, czy politycznej.

Ostatecznym celem w życiu człowieka nie są osiągnięcia materialne, ale duchowe.

Dlatego też, kiedy myśl wyrwie się w przyszłość i pragnie z niej wydobyć obraz Polski, widzi ją w duchu, a nie w materii. A to pragnienie wywodzi Polskę daleko poza granice państwa i daleko w przestrzeń czasu. Widzi naszą Ojczyznę zaborczą duchem piękna i prawdy.

Wydać się może, że są to fantazje czysto literackie, nie mające nic wspólnego z trzeźwym spojrzeniem na świat i na życie.

A przecie są to rzeczy oczywiste, jak na przykładach pokazałem. Żeby je zrealizować, trzeba wewnętrznej siły twórczej, czystej i przetopionej w ogniu walki, oraz siły... warunków. Siłę pierwszą zdobyło wielu (taką pierwszą jaskółką wydaje mi się książka Seweryny Szmaglewskiej, p. t. „Dymy nad Birkenau"). Lecz zbyt blisko jesteśmy kataklizmu, którego skutki długo jeszcze będziemy odczuwać. Brak dystansu nie pozwala na wejście wewnątrz zagadnienia. Dlatego też możemy się spodziewać, że wiele rzeczy z tego okresu będzie ujętych tak, jak je ujęła wystawa obrazów „Polonia" w Krakowie. Będzie ujęta w formę ilustracyj do jakichś makabrycznych historyj, którychby nie wymyśliła najbardziej zwyrodniała wyobraźnia ludzka. W miarę jednak odsuwania się od teraźniejszości, w miarę, jak obraz dramatu można będzie oglądać w całości, a nie we fragmentach (o czym znowu zaświadczyła wyżej wspomniana wystawa), będzie się wzmagało mocne, o trwałych wartościach stanowisko Sztuki.

Niestety: W tym miejscu musi nastąpić zgrzyt, z przyczyny owych warunków, o których wspomniałem.

W czasie, kiedy tak gwałtownie zmieniają się ustroje społeczne, kiedy padają trony nie upadłe po pierwszej wojnie, kiedy fala upaństwowień idzie przez Europę, nie ma nikogo, ktoby zastąpił dawną rolę mecenasów i protektorów Sztuki. Zastąpić ją mogą w dzisiejszych warunkach społeczeństwo i państwo.

Jak te sprawy wyglądają gdzieindziej, nie wiem.

U nas przedstawiają się niewesoło. Społeczeństwo materialnie zubożałe, a kulturalnie, w ogromnej, przerażającej większości niedorosłe do zrozumienia istotnych wartości Sztuki. Wszak przed wojną jeszcze czytaliśmy ogłoszenia, że taki to, a taki sklep poleca „obrazy wybitnych malarzy polskich w pięknie złoconych ramach już (!) od sześciu złotych". Nakłady książek były tak niskie, jak chyba w żadnym państwie, które ma jakieś kulturalne ambicje. Wskutek tego, artystów żyjących ze Sztuki możnaby dosłownie policzyć na palcach. Muzyka zanikała i nie wyszło nam z pamięci, z jakimi trudnościami walczyła opera warszawska, w mieście liczącym ponad milion mieszkańców.

W związku z tą depresją „konsumentów Sztuki" są wysuwane liczne hasła, zbiegające się w idei „Sztuka dla mas". Piękna idea i oby weszła w życie w całej pełni! Lecz przy usilnej, nieprzerywanej i wytrwałej pracy jest to sprawa kilku pokoleń.

To, co było wśród naszego ludu najpiękniejsze; strój, sprzęty, zdobnictwo, budownictwo, w krótkim czasie zostało zniszczone przez... cywilizację. Mianowicie wyroby tekstylne w produkcji maszynowej, seryjnie wytwarzane sprzęty wniknęły szybko po rozbudowywanych drogach żelaznych i kołowych. Można to było obserwować niemal z roku na rok. I tak, sławnych w Polsce Bronowic nie poznali by Rydel, Wyspiański, czy Tetmajer, gdyby wstali z grobu. A przecież to jeszcze nie tak dawno.

Zburzyć łatwo, zbudować trudno. Daleko by nas mogły zaprowadzić rozważania na temat, jak zbudować, od czego zaczynać, jakimi funduszami, jak do tego zagadnienia podchodzić u chłopów, a jak u robotników, a jak znowu u... inteligencji.

Faktem jest, że społeczeństwo polskie z wielu przyczyn nie jest w stanie stworzyć odpowiednich warunków dla rozwoju Sztuki nie tylko teraz, ale i w niedalekiej przyszłości.

Cały więc ciężar przechodzi na Państwo, jako jedynego mecenasa i protektora Sztuki.

I to w tej chwili uważać by należało sprawę piekącą i jedną z pierwszych.

Trzeba przyznać, że władze Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej zdały sobie sprawę z doniosłości Sztuki i wartości, jaką ona przedstawia dla Narodu choćby przez fakt utworzenia osobnego Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Niestety, w praktyce nie widać właściwie żadnych efektywów tego zrozumienia. Artyści wszelkich Sztuk zajmujący katedry profesorskie żyją w ciężkich, bardzo ciężkich warunkach. Natomiast niewiadomo z czego żyje ogromna większość artystów „niezatrudnionych". Jasne jest, że wszyscy wyczerpują swoje najlepsze siły na wegetatywne utrzymanie się przy życiu.

Oczywiście. Są trudności w związku z odbudową Państwa.

Ale tak się już dzieje, że o ile Sztuka w hasłach i w programach widnieje na pierwszym miejscu, to w wykonaniu zawsze znajduje się na ostatnim. Bo w Sztuce przez długi czas nie znać włożonych w nią kapitałów, bo Sztuka „amortyzuje się" po wielu, nieraz bardzo wielu latach, podczas gdy kapitał włożony n.p. w budowę domu, pozwala oglądać efekt już po kilku tygodniach.

Niemniej stwierdzić trzeba, że ani siła polityczna, ani gospodarcza nie jest celem, ale tylko środkiem do celu.

W tym miejscu nasuwa się refleksja: aby stworzyć warunki rozwoju dla Sztuki, ściśle mówiąc dla ludzi, którzy ją tworzą, trzeba właśnie postawić kraj gospodarczo. Potym dopiero i t. d... Jest to racja pozorna. Bo zanim się osiągnie jakąś możliwą podstawę gospodarczą (a każde stadium rozwoju gospodarki może budzić zastrzeżenia, że jeszcze nie czas na Sztukę), zanim więc osiągnie się pewne podstawy materialne, artyści w oczekiwaniu lepszych czasów wymrą, a żywi zubożą i wymienią swoją Sztukę na drobne kwoty koncertów kawiarnianych, licho płatnych audycyj radiowych czy artykułów, „obrazków", ale bez „pięknie złoconych ram", bo i to bardzo często przerasta możliwości materialne artysty.

Tak więc, wysokie pragnienia przyszłości, w obliczu realnych faktów zgrzytają z miejsca jak kiepski motor, który ruszyć nie może.

Żeby jednak nie kończyć takim zgrzytem, łatwo przenieść się w krainę marzeń.

Z monografii o Marii Curie-Skłodowskiej przypominam sobie scenę, w której p. Curie na jakimś wspaniałym przyjęciu w Londynie, obserwując wybrylantowane panie, myśli sobie: ileby to laboratoriów można urządzić za te wszystkie świecidełka!...

Gdyby tak mieć różdżkę czarodziejską, która by się odznaczała specjalnym pociągiem do złota i wszelkich kosztownych błyskotek!... Gdyby tak owa różdżka poczęła działać!... Myślę, a nawet wiem napewno, że znalazłoby się jeszcze w Polsce na tyle złota i kosztowności u różnych paskarzy i egoistów, u ludzi, którzy w czasie wojny woleli głód znosić, niż sprzedać coś ze swoich świecidełek, aby za nie stworzyć podstawę materialną dla rozwoju polskiej Sztuki.

No, ale to są marzenia, a świecąca materia, którą ogień niszczy i złodziej rozkrada, pochowana w pończochach, fotelach, czy puzderkach, nie zamieni się w żywą wartość ducha, której ogień nie niszczy, ani złodziej ukraść nie może.

Jeśli więc Państwo, jako jedyna możliwość zrealizowania intenzywnego życia Sztuki nie zechce działać bardziej stanowczo, artyści muszą przerabywać się przez życie w ciężkim trudzie. Jeśli któremuś uda się w pośród tej drogi stworzyć coś pięknego i trwałego, to może po śmierci liczyć na... uroczystą akademię, albo nawet pomnik.

Juliusz Kędziora

Stanisław Ziembicki

Między gołębiem a tęczą

U nas to tylko co burza była. Desc chlupał, że niech go. O, ileć to wody nachlustał w skorupy, a już ci i słońce. Niech no pan i uważa, tu gliniasto, to błocko, a nie trza było brać na wieś takich bucicków. Mojej jakem kupił tyćkie suzełki, było kole Wielkiejnocy, to już na nic zdarła.

Ten śwabski hełm to dzieciską z łąk przytargali i ostawili tutaj za stodółko, a mówiłem, żeby prec rzucić. Popatrzcieno tylko! — descu sie mu do brzusyska nalało i gołąbki popić przychodzą. A z jaką gracyją i popijają, jakby, uważcie, łapiąt se nie chciały pomacać. A nie bójta się niebożątki, nie, niechta wam będzie na zdrowie, kiej i ze śwabskiego hełmu smakuje.

Gołąb nie wojenny ptak, panie. Powiadają, że we wojne to wolsów srebrniutkich, matcynych, po obejściach suka i żołnierzykom zanosi w dziobecku.

Nosił toto, powiadam, Niemiec na rudym łbie, a terą sobie z niego gołąbki wode piją. Taka je sprawiedliwość w świecie. Żeby im tylko nie popuścili, mówie. Bo to i z moim Walkiem tak było. Prześpigły to on je, ale sie wałkoni. To on, powiadam, pasł we wtorek. To uciął sobie taką fest witke i jął osy tłuc. Tu ich mrowie je, bo gruski sie lęgną, a kąśliwe takie...

— A pocośta, fąfle, grabie tu przynieśli, pewnikiem śliwki trząść — zabierać mi zara! Nie trzą nic grabić, mokre wsyśtko. Już ja sie i znam na tem grabieniu wasem! Niby to siano grabią, a jak sie odwrócis, śliwy będą grabić. A potem pisk, bo to późne, zielone jesce.

Tak i Walek, powiadam, te osy witko tłukł. Oko ma celne i jak osa siędzie, raz machnie i ubije. A zobacył jedną na konicynie. Mała była, mówił, chudzinka i niemrawa, nienażarta jesce. Myślałem, mówił, choruje, a już sie był zamachnął. To mu sie żal zrobiło. Daruje jej, mówił, niech se leci osicka, pożyje. I tylko ją śturgnął patyckiem, żeby z tego konicynego łebka zlazła. A ta jak sie poderwała i jak go zara ukąsła, to do dzisia bąbel nosi nicem guzik. Ja jej darował, mówił, a ona taka śprawiedliwa. Żeby Niemcom tylko nie popuścili, powiadam.

O, jak to sie kurcęta iskają, pogoda będzie.

Odgrodziłem sie tera ode drogi, bo to Niemcy tych kolcaków góry na łące poostawiali. Rozwineło się drucicki i ogrodzenie mam tylaśne. I brzóske ścielim za dnia, krzyżyk sie z niej wyrychtuje, jak sie patrzy. Mogiłe tu mamy, panie.

Było dwa roki temu, jak go chłopaki od lasu nocą przynieśli. Płuco to miał na durch przebite. Strachu nadali co niemiara, bo śwabstwo o staje kole kolei warowało. Zanieślim go do stodoły opatrywać. Ziarna zmłóconego na kontyngent trocha było, to je krwią zachlustał, że scerwieniało nicem ten głóg. Ostawili go, a sami w las. Tęgie tu lasy, panie. Obmylim go, obwiązalim śmatami. Gorzałko go natarłem, bo ziąb. Chudzieńki taki był, że mu te ziebra to jak klepki na becce policył. I nie chłopski, nie. Rącyny eleganckie miał takie i mięciunie, nicem łapki kace, chocia od śtucera twardnieć zacely. Nocke tak w sianie poleżał, jak ulęgałka.

— Jaki to galanty mój koguț, tako to tęce w ogonie ma... Trzeba, widzi pan, te jabłonki wiechciami podwiązywać, bo je wiater łamnie.

Ale rankiem, to już na twarzy żółty był, jak te listecki właśnie. Dzień żarliwy, a drżał jak osicyna. Co mu moglim, chudziątku, uradzić. Pomar podwiecerz, tyle że sie uśmiechnął. Wykopalim mu dołek w polu i pochowalim noco w korytku, bo desek nie było, a Niemcy już po wsi niuchali. Tak sie panicyk z chłopską ziemią ugodził. Tera brzóske uciołem, krzyż będzie wysoki, nad dom.

— A to ci, bidulko, wiater gałązecek nasarpał i tyli konar, paskuda, odłupił, ile tu soku naciekło. Śmatko cie przewiąże, pocekaj, nie trząchaj cuprynką. Bo to i drzewko głodne, co sie z takich nieużytków napasie — mizerna tu ziemia.

To potem, panie, powiadam, z tem ziarnem mielim cudeńka. I tak nas bida prz[illegible] a trzeba było te reśtki oddawać. To t[illegible] ziarno, co na kontyngent było chcianem zabierać. A Adelcia powiada: nie dam psiekrwiom zboża, co go panicyk ubrocył. Nie będą tą polską krwią brzuchów paśli. To jakie ziarno das, mówie, głupia, kiej innego nima. Trzeba dać, powiadam, bo nas spalą. Przedaj krowe, mówi. Ażem sie przeżegnał. Krowe, powiadam, na takie bide przedam, kobito, chyba cie kto omamił.

— Nie puśćże rudej, gamoniu, w konicyne! Co sie tych msyców nalazło, a jużem tabaczną wodą ochlapywoł.

To ja i powiedziałem Adelci, że babiego gadania słuchać nie będe, na mojem postawie i ziarna nie dam, chociabym miał krowe przedać. I nie dałem, psiajucha. Kupilim drugie, by ich ościorami podławiło. A tym zbroconym obsielim zara te pólko, co je tam pan widzi, za wydmuchem. Wzeszło grube, a twarde, by zębiska u brony. Kłosy miało nicem strąki bobie. Taka je ziemia patryjotka.

Żżelim i pieklim chleb. Wyjma Adelcia bochen, obdziera liście z podespodu... W imie Ojca i Syna! Orzeł, panie, na spodku był wypiecony. Taki ci orzeł, jakby go z capki chłopakoju zdjeli, ino pokaźny i skrzydła strzępiate miał, a do dzióbka węgielek mu sie wtłoczył.

— Znowuśta, fąfle, do municyji łazili! Skóre złoję, jak przyńdę. Dosyć tych kapsli w domu sie poniewiera, a niech ta jaki buchnie! Tu, panie, w lesie takie patrony puste leżą, to dzieciska co równiejse kapsle znosą na wazoniki do kwiatusków. A hełmu tam aby nie rusta, niech se gołąbecki z niego wode piją.

Jak sie nama ten orzołek wypiekł, powiadam Adelci, ani chybi wojna sie latoś skońcy. I nocko właśnie, mój najstarsy Stasiek nieborak, z lasu do chałupy przysed. Na Rany Jezuseckowe, powiadam mu, pocóżeś przysed, Niemcy po wsi niuchają.

— Jak to sie cerwono te różycki rozwinęły po descu. Taki to kolor kwiatuskowy w ziemi je. Z wierzchu carna, a ode środka taki ogień ma. Ale cie kacuski obskubały — mówiłem, żeby furtke domykać, bo w ogródek lezą. Tych listecków ci narwały, nagryzły...

A Stasiek to sie zara do lasu rwał, tylko tego panicka pszynięśli. Nie usiedziałby, nie, chociaby go rzemykami wiązać miał. Aż ci przyśli śwaby i dalej z nami koziołki wyprawiać. Bicyskiem me prali, bym gadał, gdzie chłopaki siedzą, a Stasiek sie ino obzierał. Myślałem — skocy. A miał on takiego pająćka, co go ta wykarmił. Rozwiesił sie ten pająćek tutaj w gałązeckach, uwił taką sieć. Stasiek powiadał że Matki Boskiej to pająćek z krzyżykiem, domu pilnuje co dnia muchów nałapił, skrzydełka im poobrywał i ciskał pająćkowi na sieć, by nie głodował. To jak me bili tym bicyskiem, a tak, panie, bili, że aż kosula pluskała, tak sie ten Niemiec zamachnął i rozdarł pająćkową sieć. Anim sie w nocy obzerknął, jak Staśka nie było — tego pająćka tak nie mógł śwabom darować.

Przysed znowu wtedy, co sie ten orzełek nama na chlebie wypiekł. Chciałem, powiada, zobaczyć, co sie u was robi, bo sen miałem jakisiś nie taki. Śniło mi sie, powiadał, że sam na nasem polu jestem, a w krzakach Niemcy siedzą. To ja, powiadał, chce do nich prać. Biere ręką do worećków, gdziem te pestecki do śtucera nosił, aż tu patrze, zamiast patronów w worecku ziarno je siewne i złoci się, że aż gorące. Ja śtucer rzuciłem i dalej w śwabów ziarnem ciskać.

A co cisne, to padają; jak muchy. Jakem ich zaczął gonić, powiadał, tom sie do lasu dobiegając obudził.

— Przynieś no, Walek, gamoniu, fartuch piachu i przesyp ścieżynki. Ale bieluchnego żwirecku.

Jak ten sen nama powiedział, Adelcia w ręce klasce, że ani chybi wojna sie skońcy i z lasu przyńdzie nama ozimine siać. Tak zaklaskała, mówie, że aż Walek do izby zajrzał, co po drodze uważał, cy Niemcy aby nie idą. Wypilim gorzałki i posedł Stasicek... Za tem ziarnem, panie, posedł do ziemi, panie. Tak se i śmierć wysiał.

— Mówiłem, żeby drzewa do komórki zanieść, nie, ostawili, zamokło, że aż rôowe.

Tu przejdziem wzgórecek, to sie pan na mogiłe panicka popatrzys. A gdzie ta mój? Tyle powiedzieli, że popadł. Pusca głęboka. Wzgórecka żadnego pewnikiem nima. Śwaby to tylko takich wzgóreckow potem sukali żeby splugawić psy napaść. Rosły był, panie, chłopak, mocny, że dysel w dwóch garściach łamał. — Tyle, że tego pająćka tak kochał. A niech ta i ziemi on zwycajny.

Ale takiemu niebożątku, jak ten panicyk, to nie trza było do lasu chodzić, a pieluchy grzać. Przysło tu takich paru, pomne, w onegdajsze lato. Powiadali, ilu śwabów natłukli i sie nicego nie stracha ją. A karpiów pare żywych micli. To mówią, że chcą je oporządzić. Powiadam, dam nóż, desecke, niech se oprawią. Nie, prosą, żeby kto zrobił, bo nie umieją. Jakto, powiadam, żołnierzykowie, w lesie sie bijeta, a ryb nie umieta oprawić. Dopierom z nich wydusił, że niby żywych ryb nie umieją zabijać, bo to nie niemieckie ryby, a nase. A patrosyć to żaden nie chce, bo ryba ślipiów po śmierci nie zamyka, a nie mogą krajać, kiej sie tak ciągiem ino patrzy i patrzy. Słysane rzecy? Bez to że ryba ślipiów nie zamyka, to do wsi, w pobok śwabów zaśli, by kto je opatrosył nie strachali się. Cie, bitewniki!

— Jakie to ziemniaki na wierzch wyglądają. Wyzbieram was, łyse łebki, wyzbieram, niecha obeschnie.

Ot i tutaj. Dzieciaki w kapslach kwiatecków nastawiali, Walek ograbił, żwireckiem zasypał. Będzie miał panicyk krzyż niezadługo.

Była tu, panie, taka komisyja z miasta. Chcieni go wykopać i na smentarz zabrać, coby tam razem leżeli. Nie dałem i nie dam. Chociabym pazurami miał bronić, chociabym kłonicą... Co w mojej ziemi leży, moje je — takie chłopskie prawo i innego nie trza. Ziemia ziemi nierówna, ale leżyć mu i w chłopskiej będzie wygodnie — obacym.

— Jużżeśta główecki popodnosili, tyle co was descyk pochlustał? Jak to se modremi ślepkami poglądają. To Adelcia te żabie ocka posadziła.

Nie oddam!

Zmówim Ojce Nas?

Ojce nas, któryś je w niebie... Jakie to to niebo bławe, tylko co burza była, a już ci i słońce i, popatrzajcie, tęca...

Któryś je w niebie i na ziemi... Jutro będziem ziemniaki kopać.

*

Zostawiłem ci ten grób, Macieju Łupek ze wsi Żarnowice Duże, zostawiłem, bo rację masz. Co w twojej ziemi leży, twoje jest, takie chłopskie prawo i innego nie trzeba. Ziemia ziemi nierówna, ale leżyć mu będzie i w twojej, chłopskiej wygodnie, mimo, iż to syn mój był.

I niech Bóg błogosławi ziemi między gołębiem a tęczą.

Stanisław Ziembicki

Wśród książek i wydawnictw

Wanda Bacewiczówna

Dymy nad Birkenau

„Wśród życia dróg bosych stóp krwawy ślad
Oznajmia nam, że przechodził nasz brat.
Szubienic rząd, naszych dni czarny stróż
Oznajmia nam, że nasz brat odszedł już".

Ta zwrotka z piosenki więźniów Oświęcimia stanowi motto książki Seweryny Szmaglewskiej, książki, która porusza do głębi, która poruszyć musi najtwardsze nawet serca. Nie chwytami literackimi, nie efektami bólu, lecz spokojem żywej prawdy. Choć książka ta pojawiła się w okresie, gdy znużeni okropnościami wojny pragniemy się od nich odwrócić, pragniemy zapomnieć o nich przynajmniej na razie i odetchnąć atmosferą nieskażoną zapachem trupów i krwi, każda karta tego wstrząsającego opowiadania zawraca nas ku wojnie i budzi wyrzut sumienia, że oto tak łatwo chcieliśmy odsunąć od siebie ofiarę i bohaterstwo tych, co zginęli i tych, co przetrwali w obozach hitlerowskich. Artyzm Szmaglewskiej jest dobrą obroną literatury wojennej, martyrologicznej i to może właśnie dlatego, że literackość występuje tu w formie zupełnie odmiennej niż w dotychczasowych utworach wojennych, niż np. w „Nocy" Andrzejewskiego, nie narzucając się czytelnikowi, jako z góry nakreślony plan, lecz wypływając z toku opowiadania kreślonego serdeczną krwią więźnia straszliwego obozu w Birkenau (Oświęcim II), gdzie „ponad szumem obozowego życia, ponad liniami drutów szemrzących ustawicznie swe ciche ostrzeżenie przed śmiercią, wybucha snopami pąsowych płomieni ogień z krematoryjnego komina i trwa ruchliwą plamą w ciemności, jak znicz zapalony z ludzkich ciał". O tym, jak dogłębnie Szmaglewska przeżyła dolę więźniów obozu, świadczy najlepiej fakt, że ani przez chwilę nie występuje ona w swojej książce we własnym imieniu, choć opowiadanie w pierwszej osobie ułatwiłoby jej z pewnością zadanie. Szmaglewska wtopiła się w jeden wielotysięczny organizm niewolnika, aby dać najprawdziwszy dokument cierpienia i zwycięstwa nad bestialstwem Niemców. Szmaglewska kocha ludzkość i wierzy niezłomnie w zwycięstwo człowieczeństwa. Oto końcowe słowa książki, w których maluje obraz więźnia pędzonego przez SS-mana z karabinem po ostatecznym zlikwidowaniu obozu w Oświęcimiu i Birkenau: „Droga jest prosta. Idzie wsłuchany w głos ziemi, w której tętnią serca braci, co padli w walce. Kierowany ich wolą idzie spełnić pracę ich ramion, które zostały czynu pozbawione. Idzie sadzić drzewa na miejscu wypalonych lasów, idzie budzić radość w zasmuconych przez siebie oczach dzieci, idzie budować biały dom w tym kraju tragicznym, przez który co pewien czas przetacza się miliontonowy tank, miażdżąc gniazda. A dokąd idziesz ty — człowiek z karabinem?". Zresztą nie te nawet słowa oddają najlepiej wiarę Szmaglewskiej w zwycięstwo humanizmu, lecz opisy drobiazgowe dni walki o życie, o wymarzoną wolność, dni pełne zaparcia się siebie i poświęcenia w niesieniu pomocy bliźnim. W książce Szmaglewskiej nie brak oczywiście i opisu dusz spodlonych pośród więźniów, ale gubią się one w wielkim dziele chrześcijaństwa, dokonywanym za drutami. Wytrzymałość fizyczna więźniów obozu, wypływająca z nieogarnionej woli życia mówi dobitnie o sile ducha człowieczego. To też książka Szmaglewskiej nie jest pesymistyczna, choć pełna grozy i bólu. Skupienie, umiar i spokój, bijący z kart książki, wzmacnia wartość oskarżenia wypowiedzianego w imieniu narodu silnego duchem, godnego wolności. „Osłonięte reprezentacyjną częścią obozu w Oświęcimiu i Birkenau stanowi kulisy lagru; kulisy zaiste przesiąkłe krwią. Znają je tylko SS-mani, pracujący w obozie i więźniowie. Z zewnątrz bywa tu tylko Himmler. Lecz gdy on przybywa, władze zarządzają wykonanie jakichś zarezerwowanych na ten dzień egzekucyj, odbywają się selekcje, samochody pełne ludzi odjeżdżają do krematoriów, w obozie męskim skrzypią szubienice, ludzie wyją pod gumowymi batami — Birkenau nabiera wyrazu".

A gdy wreszcie do Birkenau zjeżdżają jakieś komisje międzynarodowe, oprowadzane są tylko po specjalnie przygotowanym wzorowym terenie. Zorganizowana na wielką skalę komedia udaje się całkowicie. Oskarżenie Szmaglewskiej staje się chwilami oskarżeniem międzynarodowym, autorka niejednokrotnie bowiem maluje cierpienia nie tylko Polaków, ale i Żydów, Rosjan Greków, Francuzów, Cyganów i wielu, wielu innych narodowości. Są w książce opisy, których zapomnieć nie sposób — opis kobiet krzyczących rozpaczliwie w czasie jazdy samochodem do komór gazowych, opis nagich trupów, palonych w wielkich dołach, zastępujących w pierwszym okresie istnienia „Brzezinki", krematorium, opis dzieci palonych żywcem dla oszczędzenia gazu, opis apeli, tortur, opis więźniów rzucających się samobójczo na druty wysokiego napięcia, opis „ponurych nędzarek" w zawszonych łachmanach, grzebiących z głodu w śmietnikach, opis epidemii tyfusu i selekcji, opis strzępów ludzkich — więźniów przywiezionych z kopalń w Jaworznie z gnijącymi ranami zamiast rąk, wreszcie opis udaremnienia przez Niemców ucieczki więźniów z obozu za pomocą groźby represji na najbliższej rodzinie. Obok obrazów, pełnych realizmu, oddając liryczne stany i udręki więźniów, Szmaglewska kreśli w sposób wysoce poetyczny ich stany duchowe, podkreślając niejednokrotnie wpływ natury na te umęczone cienie ludzkie. „Kwitnie na skraju łąki, tuż za drutami, żółty irys. Rozwinął swoje delikatne płateczki, roztulił ich miękką włochatość. Przychodzą na skraj obozu kobiety. Siadają na zboczu fosy, opierają głowy na rękach i patrzą przed siebie. Przezwyciężają myślami pasmo drutów, poza którymi widać rozległą, wolną przestrzeń. Tak trudno uświadomić sobie i widzieć, że tu, gdzie one, i tam, gdzie ów żółty kwiat, są dwa różne światy. Czasem jest już bardzo ciemno, a kobiety nie odchodzą jeszcze. Głęboka cisza i spokój płyną od pól i łąk, biorąc w posiadanie skołatane obozem istoty. Tracą one drogie godziny snu, ale odzyskują równowagę, która jutro pozwoli im z determinacją, a może nawet z pogodą przeżyć dzień". Gdzie indziej autorka znowu pisze: „Chwile zapomnienia są błogosławieństwem dla więźnia, który przez wszystkie [illegible] miętać musi [illegible]. Chwile, gdy natura czar[illegible] niewalającym przepełnia jego świadomość,

mówiąc mu pogodnym spokojem swego istnienia o prawach bytu i trwania. Mówiąc mu o tym, że jest on maleńką cząstką wszechświata, że musi być po to, aby był wszechświat, że musi trwać, skoro ma w sobie życie bijące o brzegi jak woda w pobliskich stawach. To przenikanie przedwiecznej mądrości natury do świadomości człowieka budzi cichą ekstazę wewnętrzną, pod wpływem której słabnąca chęć życia pręży się jak pięść, gotowa bić w przeszkody otoczenia i we własną niemoc, gotowa w szarzyźnie dnia zdobyć się na sobie tylko wiadomy heroizm, pozwalający mimo wszystko przetrwać". Język Szmaglewskiej jest sugestywny i pełen wymowy.

Przy wielkiej prostocie słowa, odrzucającego jakikolwiek patos, czy sztuczność słowa popartego niekłamanym przeżyciem, uderza bogactwo metafor, tchnących prawdziwym artyzmem. Oto kilka z nich: „...reprezentacyjne baraki obozu w Oświęcimiu różnią się najzupełniej od tego ruchliwego, żywego jeziora błot, jakim jest Birkenau, na którym nieprzeliczone baraki, jak arki zakotwiczone w porcie śmierci stoją, czekając wraz z setkami tysięcy podróżnych"..... „Jest w tych kobietach uparta, wspólna wola. Wola wytrwania, wola powrotu. Jest brawura tych, które umieją stawić czoło niebezpieczeństwu. Jest cierpliwość, pomagająca ze spokojem zachować się w obecnych warunkach. Patrząc na nie kobiety z transportów poprzednich pod wpływem ich żywotności stają się podobne do pszczół, które padły wieczorem na ziemię, na liście i kwiaty i leżały skulone z zimna, a teraz w promieniach porannego słońca wyciągają swe nóżki, prężą skrzydełka, odczuwają chęć lotu...". „Duża ich grupa — te mianowicie, które przeznaczone są na rychły wyjazd do Niemiec — nosi luźne suknie z drelichu szarej barwy. Gdy idą piątkami w długiej kolumnie, robią wrażenie pola zasypanego popiołem, które ruszyło z miejsca i wchodzi zagonami pomiędzy baraki... „Bywają takie wątłe nitki, łączące człowieka z otoczeniem, które dopiero wtedy gdy przychodzi do zerwania ich, okazują się naczyniami krwionośnymi". Konstrukcja utworu jest doskonała. Wspaniały wstęp oraz epilog stanowią szlachetne ramy, w których mieszczą się trzy części (rok 1942, 43 i 44) podzielone na rozdziały, z których każdy stanowi zwartą całość o pięknej poincie. Warto wspomnieć wzruszające zakończenie rozdziału „Kommando 117" i tak ładnie łączący się z nim początek rozdziału następnego. We wstępie autorka pisze: „...Marli artyści, ludzie talentu, ludzie geniuszu, ludzie przeszłości i ludzie przyszłości. Z tych licznych śmierci, z tych strasznych hekatomb ludzkich, z każdych gasnących oczu podnosiła się niema prośba, ostatnia wola konających. Wola ta zapadła w pamięć zostających przy życiu, rozszerzała ścianki serca, zdawało się, że rozerwie druty, rozewrze bramy, że na świat cały zakrzyknie, że krzyk ten doleci aż do państw wolnych, do narodów wolność miłujących". Szmaglewska przemówiła za tych wszystkich, którzy spłynęli słupem dymu z krematoryjnych kominów, przemówiła za pięć milionów ludzi, zamęczonych w krwawym obozie i jej głos powinien dobiec do wszystkich ludzi na ziemi.

Wanda Bacewiczówna

Baśnie Lapońskie
JADWIGI WALCZAKOWEJ

Pomimo narzekań wydawców na trudności „papierowe", w ostatnim sezonie gwiazdkowym ukazało się sporo książek dla dzieci i młodzieży. Wśród nich, jedną z najbardziej wartościowych pozycyj są „Baśnie Lapońskie" Jadwigi Walczakowej.

Są to cztery fantastyczne opowiadania oparte na oryginalnych wątkach ludu lapońskiego, na tle surowej i dzikiej przyrody północy. Bohaterami są dzieci i zwierzęta. Starsi w opowiadaniach Walczakowej są na drugim planie.

Dzieci są tam dzielne, myślące i pełne gorącego uczucia. Zdobywają się na czyny bohaterskie, na heroiczne poświęcenia, z miłości ku rodzicom, czy przyjaciołom. Owe dzieci z „Baśni Lapońskich" żyją w serdecznej zażyłości ze zwierzętami, które są ich powiernikami i pomocnikami. Rozumieją się doskonale i działają wspólnie, bo fantazja pozwala im na swobodnę rozmowy. Zwierzęta Walczakowej są świetnie narysowane, niezwykle precyzyjnie i charakterystycznie. Każdy z tych zwierzaków to inny typ, żyjący swym własnym życiem i działający konsekwentnie ze swym charakterem. Poza Kiplingiem, owym wzorem niedoścignionym, mało kto potrafił tak, jak Walczakowa, wczuć się w psychikę zwierząt.

Ludzie dojrzali w „Baśniach Lapońskich" to figury drugoplanowe. Jednak łączy ich z małymi bohaterami dobrze powiązana akcja i tło uczuciowe. Ludzie ci, to postacie surowe i twarde, ciężko borykające się z trudnymi warunkami.

Wszystkie cztery opowiadania w założeniu są do siebie podobne. Walka z przyrodą i niebezpieczeństwem, wśród emocjonujących przygód. We wszystkich motorem działania jest uczucie, we wszystkich mali bohaterowie osiągają swój cel, każda kończy się pogodnie. Lecz akcja tych baśni nie jest do siebie podobna. W pierwszej występują motywy junackiej zuchwałości i odwagi. W drugiej, ciche, a uparte poświęcenie. Trzecia ukazuje przyjaźń i współczucie. Czwarta osnuta jest na miłości dla wiernych zwierząt.

Mimo żywej akcji i dużej dozy humoru, przez wszystkie baśnie snuje się nić refleksji, głębszego wglądnięcia w serca ludzkie i przyczyny zjawisk uczuciowych

Należy też zwrócić uwagę na ciekawe opisy przyrody podbiegunowej. Opisy te niedługie, a bardzo żywe i plastyczne, nie nużą, nie przerywają akcji, ale uzupełniają całość urokiem nastroju.

Forma prosta, bez pretensji, lecz żywa i kulturalna. Gdzie nie gdzie zakradły się usterki. Są to opisy pewnych okrucieństw które należało pominąć (ludożerstwo), czy niepotrzebne szczegóły, wywołujące przykre wrażenie, n. p.: „...wyciągnął ostry nóż z pochwy i zaczął płatać białe brzuchy ryb. Spod palców ciekły wnętrzności i spadały w ogień" (str. 122). Szczegółów takich jest na szczęście zaledwie kilka i nie zaciera to atmosfery Piękna i Dobra, jaką są przesiąknięte „Baśnie Lapońskie".

Książka wydana, jak na trudne warunki, nieźle. Ilustracje pozostają w tyle za treścią. Kolorystycznie trywialne, kompozycyjnie za mało nastrojowe.

Maria Kędziorzyna

Wydawnictwa Kat. Uniwersytetu Lubelskiego

Katolicki Uniw. Lubelski rozpoczął przerwany na skutek wojny cykl swoich wydawnictw, cieszących się zawsze uznaniem wśród sfer naukowych w Polsce. Mało znane szerokiemu czytelnikowi szare okładki, kryły, ukazujące się kilka razy do roku niebylejakiej wartości tomy, spośród których należałoby przede wszystkim przypomnieć prace zbiorowe: „Kultura i cywilizacja" oraz „Korporacjonizm" ,a także „Ekonomię społeczną", dzieło całego życia zmarłego podczas wojny przedostatniego rektora KUL'u ks. A. Szymańskiego, tłumaczenie wielkiej dwudziestokilkutomowej „Historii Kościoła", tłumaczenie „Filozofii średniowiecznej" Gilsona i in.

Profesorowie KUL. wysunęli się w różnych dziedzinach wiedzy na stanowiska reprezentacyjne, to też ich prace, szczególnie ważne zajmują pozycje wśród wydawnictw uniwersyteckich. Niektóre z nich są dobrze znane, jak: ks. rektora Słomkowskiego (tomista), ks. dr. J. Kruszyńskiego (biblista), ks. J. Pastuszka (psychologia), profesorów: H. Dembińskiego (prawo), C. Strzeszewskiego (ekonomia), M. Popławskiego (starożytność), Rubczyńskiego, Cumy, Martyniaka, Życzyńskiego (niestety dwaj ostatni zamordowani).

Pierwsze po wojnie wydawnictwa KUL są małe. Są to drobne broszurki, obejmujące wykłady i przemówienia profesorów KUL.

Interesującą broszurkę stanowi J. Czekanowskiego „Podstawy teoretyczne antropologii i ich konsekwencje". Pamiętamy, jakim niebywałym zainteresowaniem cieszyła się w okresie okupacji książka Czekanowskiego „Człowiek w czasie i przestrzeni". Kapitalna synteza naszych wiadomości z zakresu nauk antropologicznych — do których powstania przyczyniły się w dużym stopniu właśnie prace uczonych polskich Czekanowskiego Stojanowskiego — stanowiła cenną odtrutkę na pseudonaukowe brednie niemieckiej propagandy. Czekanowski zanim jeszcze wybuchła wojna już zmiażdżył rasizm.

Dziś otrzymujemy z jego rąk obraz dalszej zdobyczy tej młodej nauki, jaką jest antropologia. Uczony formułuje tym razem jej zasady teoretyczne, podkreślając, że antropologia, dzięki zastosowaniu w szerokim zakresie metody ilościowej, staje się nauką ścisłą. Było by rzeczą trudną streścić wywody Czekanowskiego, nie sposób jest natomiast oprzeć się chęci zacytowania kilku ciekawostek, podanych przez uczonego. Czekanowski stwierdza, że typy morfologiczne zachowują swoją stałość, pomimo przeróżnych zmian, te są bowiem tylko przestrojeniami dominacji (np. kształt głów), jeśli chodzi o Europę dokonuje się w niej rozrastanie się liczebne składnika nordyckiego (a więc nie grozi mu opiewana przez Gobleau Chauberlaina Rosenberga zagłada) kosztem śródziemnomorskiego na płn. peryferiach kontynentu, a więc nie tylko w Niemczech, ale przede wszystkim w Skandynawii, Polsce, krajach nadbałtyckich, na Białorusi i w pół. części obszaru wielkoruskiego. Podczas, gdy składnik nordyczny rozrasta się na północy, słabnie na południu od Alp. Wyrazem rozrastania się składnika nordyckiego jest słabnięcie elementu mieszanego. Zwłaszcza jednostki typu lapoidalnego i armenoidalnego są skłonne do chorób serca i gruźlicy.

I jeszcze jedno: choć nie jest dotychczas stwierdzona ścisła zależność między typem fizycznym a psychicznym, to przecież „istnienie jakiegoś związku między właściwościami morfologicznymi i psychicznymi jest bardzo prawdopodobne". Obserwacja stwierdza np. dużo powolniejszy proces rozwoju u przedstawicieli rasy nordyckiej w porównaniu z przedstawicielami innych ras. Prowadzić to nawet musi do zróżnicowania testów przy badaniach psychologicznych, gdyż stopień rozwoju umysłowego nie zawsze odpowiada tej samej liczbie lat.

Oprócz broszury Czekanowskiego ukazały się „Tragizm" Kleinera i Parandowskiego „Literatura a współczesność".

J. D.

Sprawa Słowian Połabskich

Sprawa Słowian nadłabskich nie jest nową w literaturze polskiej. Jak wiemy pisali o nich Bogusławski oraz Wachowski dawniej, a w r. 1939 poświęcił im małą pracę Lehr-Spławiński p. t. „Plemiona słowiańskie na północno-wschodnim pograniczu Niemiec w wiekach średnich", wydaną nakładem „Instytutu Śląskiego" w Katowicach. Praca tego ostatniego była o tyle nowością w dotychczasowych osiągnięciach że potraktowana była z punktu widzenia językoznawcy i główny nacisk na tę dziedzinę wiedzy był położony. Omówione tam były przede wszystkim grupy narzeczy Słowian północno - zachodnich oraz ich bliskie pokrewieństwo z narzeczami t. zw. lechickimi. Podobne znaczenie ma też wydana w czasie 1945 roku drobna robota tegoż autora p. t. „Zagadnienie kaszubskie a plemiona słowiańskie na wschodnim pograniczu Niemiec w wiekach średnich", jako praca, należąca do skryptów - wykładów, wygłoszonych w ramach kursów naukowo-informacyjnych o Ziemiach Zachodnich, zorganizowanych przez U. J. i Akademię Górniczą w Krakowie. Podobną robotę popularno - naukową ogłosił w tych samych ramach prof. Widajewicz p. t. „Słowianie Zachodni" (Kraków, 1945).

Nie ulega wątpliwości, że praca podana w tytule recenzji, jest rozwinięciem tematu broszurki podanej powyżej. Dzieli się ona na dwa rozdziały, które noszą tytuły: 1) Parcie Niemców ku wschodowi i 2) Germanizacja krajów połabskich. Rozdział pierwszy omawia dzieje polityczne i organizacyjno - społeczne Słowian połabskich na tle danych źródłowych, zawartych w przekazach kronikarskich. Słusznie zostały w tym rozdziale podkreślone dwie fale naporu germańskiego, wcześniejsza i późniejsza. Ta późniejsza ma charakter bardziej „nowoczesny", przedstawia nam oblicze Niemców bez maski. Niemców takich, jakich ich pamiętamy z ostatnich dni. Rozdział drugi jest o tyle ciekawszy, że autor na marginesie różnych teorii o sposobie zniemczania krajów połabskich wysuwa też własne sugestie, które należy w tym miejscu w skrócie omówić. Stwierdza on, że po utracie niepodległości dwa tylko czynniki uratować mogły Połabian od wynarodowienia: niezależność gospodarcza i własna kultura. Według Widajewicza nie dopisały dwa czynniki. „Proces wynarodowienia, pisze Widajewicz, odbywał się na drodze pokojowej, a zatem powoli, dziwić się więc nie można, że uszedł uwagi współczesnych dziejopisów i nie znalazł oddźwięku w ich dziejach". stwierdza dalej, że niemczenie rozpoczęło się od społecznych szczytów, od rodziny książęcej i od szlachty słowiańskiej, jako właścicielki latyfundiów. „Obawa o utratę majątków ziemskich stałą się dla niej bodźcem do nawiązania bliższych stosunków z najeźdźcą"... oświadcza Widajewicz. Pogląd ten nie jest nowy. Starsi uczeni polscy z Brucknerem na czele zbyt pochopnie akceptowali tezę o szybkim zniemczeniu ziem słowiańskich. Nie ulega wątpliwości, że większa część szlachty oraz mieszczaństwo słowiańskie, wychodzące z dołów społecznych i osiedlające się po miastach i osadach, ulegały wczesnej germanizacji ze względu na otoczenie. Małżeństwa książąt słowiańskich z Niemkami i tym samym wchodzenie w ścisłe koligacje z domami panującymi niemieckimi wycisnęły swoje niezaprzeczalne piętno. Warto tu jednak zacytować historyka niemieckiego Maasa, który w odniesieniu do książąt pomorskich tak pisał: „Ciężkiej krwi słowiańskiej książąt pomorskich nie zdołały ożywić liczne związki z niemieckimi domami książęcymi". To mówi samo za siebie i nie należy tu dorzucać coś więcej. Dlatego też myślimy, że do tej sprawy należy podchodzić ostrożnie i podać rewizji dotychczasowe opinie, panujące w nauce.

Uwagi powyższe nie wykluczają w naszym przekonaniu powolnej germanizacji w 13 i 14 wieku, w czym zgadzamy się z opiniami autora. Chodzi nam o coś innego, chodzi o rewizję dotychczasowych poglądów, które by mogły powstać na tle rozległych studiów prawno - politycznych na przestrzeni od 13 wieku włącznie, które zapoczątkował u nas prof. Tymieniecki. Te dane ukazałyby może trochę inny obraz powolnej germanizacji ludności słowiańskiej na terytorium połabskim, niż podaje nam w pewnym skrócie, dyktowanym rozmiarami książki prof. Widajewicz. Pesymistyczny mimo wszystko obraz Widajewicza rozjaśnia nowa książka o kolonizacji niemieckiej Kaczmarczyka, wydana pierwej przez „Instytut Zachodni". Mimo to praca ta jest niezwykle pozytywnym osiągnięciem chwili obecnej. Jasno i przystępnie wyjaśnia stosunek Niemców do tego najbardziej wysuniętego szańca Słowiańszczyzny, który został, niestety, opuszczony i oddany w ręce Niemców. Dużym jednak brakiem tej książki jest brak mapy. Czytelnik nie ma pojęcia, jak byli rozsiedleni Słowianie połabscy. Mapa by mu to rozjaśniła i byłaby dużą pomocą w czytaniu tekstu samej pracy.

J. Ant.

J. Widajewicz. Niemcy wobec Słowian Połabskich. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego. Poznań 1946. Str. 63, mała 8. Cena 60 zł.

Autorów i Wydawców, którym zależy na umieszczeniu recenzji w naszym piśmie prosimy o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych.

List do redakcji

Patrzę i oczom swoim nie wierzę... Na wystawie księgarni nuty z rysunkiem przedstawiającym obóz. Taki zwykły, normalny obóz, okolony drutami kolczastymi, wieże strażnicze, w których czają się karabiny maszynowe, za drutami majaczą cienie więźniów... Ale dlaczego ten obraz widnieje na nutach? Czytam napis: „Nadejdzie czas", Slow-Fox, słowa Jerzego Nel, muzyka Zbigniewa Krukowskiego. Wydawnictwo E. Kuthana w Warszawie, Pl. 3 Krzyży 12.

Nie mogłem się przemóc, wszedłem, biorę do ręki egzemplarz i czytam naiwny tekst i kiepskie rymy, przypominające żywo przedwojenne t. zw. „szlagiery":

„Kto z was myślą sięgnąć wstecz by potrafił
Ten nieuctwa swego by się zląkł.
Czy pamiętasz Sand-bo-stel z geografii?
Nie pamiętasz tej krótkiej nazwy z ksiąg.

Dziś to miasto tak bliskie i dalekie
Utkwiło w mózgu do końca twoich dni
Jesteś jeńcem, nie jesteś już człowiekiem
Na piersi numer, w sercu gorycz, w oczach łzy.
Lecz przyjdzie czas, że sen koszmarny minie
I strząśniesz z piersi numer, z oczu gorzkie łzy.
Wspomnienie złe zatopisz w dobrym winie.
Nadejdzie czas, lepsze jutro, lepsze dni".

Nie, nie pamiętam „Sand-bo-stel" z geografii i nie zląkłem się swego nieuctwa lecz zląkłem się bezczelności autora, który nie wie, że są pewne rzeczy, których nie wolno szargać. Są pewne uczucia, **które są święte dla narodu i które nie nadają się do knajpy.**

Nie wszystkie wspomnienia „zatopi się w dobrym winie"... Są takie, którym kres położy tylko śmierć!

W obozach zginęło 6 milionów Polaków. Obozy to nie temat do namiętnockliwych piosenek kabaretowych. Były one największą tragedią narodu polskiego od początku jego historii.

Narazie doczekaliśmy się Slow-Foxa, ale jeśli tak dalej pójdzie, to w najbliższym czasie możemy spodziewać się tanga „Oświęcim", lub fox-trotta „Majdanek".

Czy w Polsce nie znajdzie się władza, któraby zarządziła konfiskatę tego haniebnego „Slow-Foxa"?

Z. Pr.

Od Redakcji: Zdaniem naszym w słowach listu zawiera się wiele prawdy. Istnieje jednak i druga strona zagadnienia. Piosenka Krukowskiego (wówczas jeszcze nie slow-fox) została napisana w obozie jenieckim w Sandbostel w okresie wielkiego upadku ducha i ogólnej depresji i, mimo błahych słów, wdziękiem lekkiej melodii, oraz zręczną inscenizacją (była bowiem inscenizowana) potrafiła wzruszać. Dziś byłym jeńcom Sandbostel wydaje się to nawet trochę dziwne — a jednak tak było i trudno się tamtego wyprzeć. Nie wiemy kto ponosi winę przerobienia piosenki na slow-fox — autor, wydawca, czy ktoś trzeci. Chyba nie autor, który sam był żołnierzem Powstania i, jak się zdaje, nie wrócił dotychczas do Kraju. Może więc nie należy żądać od władz konfiskaty, ale większego taktu od wydawców, by nie nadawali charakteru szlagieru każdej piosence, bodaj nawet lekkiej, lecz powstałej na podłożu tragedii.

OSTRZE NA OSTRZE

Chybiony atak

W „Kuźnicy“ w artykule pt. „O młodszym bracie — pamflet“ wspomina St. Żółkiewski, ze zgrozą o nauczycielach, którzy oceniają znajomość historii u swoich uczniów znajomością „Trylogii“. W „Przekroju“ J. Kott, pisząc o penicylinie, powołuje się, nie bez żartobliwej niedbałości, na autorytet Onufrego Zagłoby. Znając zasadę pracy „Kuźnicy“ i „przegadanie się“ jej współpracowników, jesteśmy pewni, że szykuje się w „Kuźnicy“ wielki atak na Sienkiewicza. Właściwie to już się nawet zaczął. Bo Kott swój penicylinowy felieton powiada z nonszalancją: „kiedy Bohun pana Wołodyjowskiego posiekał“ — co nie chcemy wierzyć, aby było potknięciem się Kotta i redakcji „Przekroju“, ale po prostu próbą sprowokowania przeciwników. Niech tylko zaczną — zaraz się dowiedzą, co sfery „autorytatywne“ myślą o Sienkiewiczu, „Trylogii i t. p.

Było by może przesadą występować tutaj z obroną Sienkiewicza. „Trylogia“ będzie się broniła najlepiej sama. A właściwie będzie ją najlepiej bronił mały „szary czytelnik“, który jednak — co tu dużo gadać — ciągle jeszcze czeka, że mu duży „Czytelnik“ wyda „Trylogię“.

Tajemnica popularności „Trylogii“ zawiera się w tym, że jest to wciąż nasza jedyna epopea narodowa. Dwudziestolecie nie stworzyło książki o równym rozmachu. Można było Sienkiewiczowi dowodzić tendencji nieścisłości historycznych, a mimo to rozmach artystyczny zwyciężał. I zwycięża. Podejmowanie walki z „Trylogią“ nie wydaje nam się zadaniem na czasie. Trzeba podjąć odbudowę twórczości artystycznej o wielkim napięciu, trzeba stworzyć atmosferę, w której powstać może wielka epopea narodowa, nie posiadająca wad „Trylogii“, a wówczas „Trylogia“ utraci automatycznie swe znaczenie. Natomiast zwalczanie „Trylogii“, by ją zastąpić miernotą artystyczną, wymienianie na miejsce „chybionego społecznie“ arcydzieła, politycznie może na czasie, ale literacko stojących „pod psem“ utworzątek, nie pójdzie. Chybi celu.

Piat.

MIĘDZYNARODOWA KRONIKA GOSPODARCZA

Zniszczenia wojenne i odbudowa w Rosji Sowieckiej

Podajemy za „Izwiestia“ (10.I. i 19.I. 46 r.) szereg ciekawych cyfr, dotyczących zniszczeń wojennych i osiągnięć w zakresie odbudowy w Rosji Sowieckiej.

Straty radzieckiej gospodarki narodowej na skutek wojny szacuje się na sumę 679 miliardów rb. Zniszczono 32 tys. zakładów przemysłowych, zatrudniających ca 4 miliony robotników. Zniszczono 65 tys. tonn toru kolejowego, 4.100 stacji, 13 tys. mostów kolejowych, 317 remiz parowozowych i 129 fabryk parowozów i wagonów.

W rolnictwie zniszczono 98 tys. kołchozów i 1.876 sowchozów. Kilka milionów sztuk bydła Niemcy wyrznęli lub wywieźli.

W zagłębiu donieckim przed wojną (przed wojną zagłębie donieckie dawało 57% całej radzieckiej produkcji węgla) zniszczono 300 kopalni większych i 2.000 mniejszych. Kopalnie zostały zatopione a sprzęt spalony.

Oczywiście cyfry powyższe nie obejmują całości strat, tym niemniej dają pewne pojęcie ich rozmiarów.

Osiągnięcia w zakresie odbudowy są olbrzymie. Odbudowę przemysłu rozpoczęto już w grudniu 1942 r. Odbudowano dziesiątki pieców hutniczych i martenowskich, maszyn walcowniczych i baterii koksowych. Odbudowano kilkadziesiąt elektrowni rejonowych, tysiące kilometrów linii wysokiego napięcia. Pomyślnie rozwija się odbudowa największej elektrowni Z. S. R. R. Dnieprogresu im. Lenina, która ma być uruchomiona częściowo już w 1946 r. Odbudowuje się przemysł budowy maszyn. Odbudowano już stalingradzką i charkowską fabrykę traktorów. Akcja odbudowy obejmuje również produkcję artykułów pierwszej potrzeby. W 1945 r. uruchomiono ca 100 fabryk obuwia. Do końca 1945 r. odbudowano 1.745 zakładów przemysłu spożywczego.

Odbudowano ca 50 tys. torów kolejowych. Potężne mosty na Dnieprze odbudowywane są z rekordową szybkością 70 — 80 m. bież. na dobę.

W zagłębiu donieckim uruchomiono 130 kopalń węgla większych i 796 mniejszych. W rezultacie w ciągu ub. r. wydobycie węgla zwiększyło się dwukrotnie i stanowi obecnie połowę wydobycia przedwojennego.

W 1945 r. obszar zasiewów kołchozów na Ukrainie osiągnął 75% poziomu przedwojennego. Na terenach okupowanych przez Niemców odbudowano lub zbudowano do końca września 1945 r. 568 tys. domów mieszkalnych, skutkiem czego 2 i pół miliona ludzi przeprowadziło się z ziemianek do nowych mieszkań.

Nowy pięcioletni plan przewiduje nie tylko odbudowę lecz i rozbudowę wszystkich gałęzi gospodarki narodowej na wyzwolonych terenach.

p. t.

Na ile głosów mogą liczyć Stany Zjednoczone i Imperium Brytyjskie w Międzynarodowym Funduszu Walutowym?

Układy z Bretton Woods przewidujące utworzenie Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz Międzynarodowego Banku Odbudowy, aczkolwiek weszły w życie dzięki ratyfikacji przez państwa, reprezentujące ogółem 65% udziałów, nie zostały do tej pory jeszcze ratyfikowane przez wszystkich sygnatariuszy. Między państwami, które do tej pory nie ratyfikowały umowy w Międzynarodowym Funduszu Walutowym, należy na pierwszym miejscu ze względu na wysokość udziałów i ilość związanych z tym głosów wymienić Rosję, Indie, Australię i Nową Zelandię. Minister Skarbu w rządzie indyjskim zmuszony był przyznać przed zgromadzeniem prawodawczym, t. zn. izbą niższą przedstawicielstwa całych Indyj, że rząd (inaczej Rada Wykonawcza przy boku Wicekróla) podpisując umowę, przekroczył swe pełnomocnictwa. O dalszych losach udziału Indyj rozstrzygnie wspomniane zgromadzenie, przy czym decydującą rolę odegrają widoki na realizację wierzytelności w funtach szterlingach, przysługujących Indiom wobec Anglii z tytułu dodatniego bilansu handlowego. Nowa Zelandia pójdzie przypuszczalnie w ślady Anglii ratyfikować umowę. Rząd Australii jest jednomyślny w ocenie ujemnych następstw układu; cała kwestia sprowadza się do tego, czy odmowa ratyfikacji nie pociągnie za sobą jeszcze ujemniejszych skutków. Anglików interesuje w związku z tym oczywiście w pierwszym rzędzie przyszły układ sił w Funduszu Walutowym. Początkowe obliczenia angielskie, oparte na założeniu ratyfikacji przez wszystkich sygnatariuszy, wskazywały na przybliżoną równowagę głosów między Stanami Zjednoczonymi z jednej a Imperium Brytyjskim z drugiej strony. Pierwsze rozporządzałyby w takim przypadku 27 1/4% ogólnej ilości głosów, drugie 25%. Obecnie jednak bez Rosji, Nowej Zelandii, Australii i Indyj stosunek sił przesunął się znacznie na niekorzyść imperium. Udziały Indyj i Australii łącznie równają się prawie połowie udziału Wielkiej Brytanii, czyli czwartej części ogólnej sumy udziałów, przypadających na całe imperium. Przy obecnym układzie U. S. A. reprezentują około 40% głosów (cały „blok dolarowy“ z włączeniem Ameryki Łacińskiej 47%), podczas, gdy sama Wielka Brytania rozporządza 18 3/4%, a wszystkie kraje imperium brytyjskiego, które dotychczas układ ratyfikowały, poniżej 25%.

Ile może zarabiać przedsiębiorca na dostawach rządowych?

Granice, w jakich przedsiębiorcy zysk jest usprawiedliwiony, a z punktu widzenia interesów społeczeństwa, jako całości, celowy i pożądany — to oddawna niewyczerpany temat rozważań ekonomicznych i socjologicznych, który w obecnym okresie zwrotu w kierunku gospodarki uspołecznionej i planowej, stał się szczególnie aktualny. „The Economist“ z dn. 9 lutego b. r. również porusza to zagadnienie, przy czym wywody organu „angielskich sfer gospodarczych“ są tym charakterystyczniejsze, że całą problematykę, zazwyczaj omawianą w świetle abstrakcyjnych i doktrynalnych założeń, ilustrują na konkretnym przykładzie. Sprawa wynikła na tle dorocznego sprawozdania Komisji Rachunkowości Publicznej (w pewnym sensie odpowiednik naszej Najwyższej Izby Kontroli). Chodzi o zarobki przedsiębiorców, dostarczających samoloty i silniki na zamówienie Ministerstwa Produkcji Lotniczej po cenach z góry ustalonych. Otóż w sprawozdaniu złożonym w roku 1944, Komisja podniosła zarzut, że znaczna część przedsiębiorstw zapewniła sobie dzięki tym zamówieniom zarobki, które w relacji do użytego kapitału wyniosły przeciętnie w 1941 r. — 18.5%, w 1942 r. 20.4%, podczas gdy intencją rządu było utrzymanie odnośnych zysków w granicach od 10 do 15%; co więcej, zarobki jednej trzeciej części dostawców obracały się nawet w granicach od 20% do 60%.

W sprawozdaniu, opracowanym z upływem ub. roku, Komisja zaznaczyła, że w roku 1943 pewna kategoria dostawców (mniej liczna od tej, której dotyczą wymienione wyżej cyfry 18.5% i 20.4% za lata 1941 i 1942) zarabiała na poważnych ilościowo zamówieniach 20.9%, w roku zaś 1942 — 21.6%. Raport wyraża dezaprobatę dla gospodarki Ministerstwa Produkcji Lotniczej z tego powodu, że mimo doświadczeń, zebranych w związku z analogicznymi zamówieniami w poprzednich latach, umowy, najwidoczniej z powodu niedoceniania wpływu wzrostu produkcji na obniżenie kosztów, doprowadziły do tak znacznej rozpiętości między faktyczną a zamierzoną przez Ministerstwo stopą zysku przedbiorców.

Omawiając to sprawozdanie „The Economist“ przyznaje na wstępie, że rozumowaniu komisji trudno odmówić logiki, zwłaszcza jeśli uwzględnić, że w odniesieniu do 30% — 40% zamówień Ministerstwo ustaliło ceny dopiero z chwilą, gdy produkcja była już daleko zaawansowana, a nawet przedsiębiorcy rozpoczęli już wykonywanie dostaw, posiadało wystarczające dane do przeprowadzenia właściwej kalkulacji. Czy jednak to stanowisko komisji, któremu z punktu widzenia „purytanizmu fiskalnego“ nic nie można zarzucić, jest w równej mierze merytorycznie uzasadnione? Innymi słowy, czy dowodzi ono, że decyzja instancji kontrolnej nie tylko jest poprawna pod względem formalnej logiki, ale również opiera się na zrozumieniu samej istoty problemu? W tym punkcie nasuwają się poważne zastrzeżenia. Przede wszystkim należy stwierdzić, że system kontraktów z dostawy, w którym cena kupna nie jest z góry ustalona, tylko nabywca, t. j. państwo oblicza ją za każdym razem dopiero po wykonaniu zamówienia, uzależniając wysokość zapłaty od wysokości faktycznych kosztów produkcji (t. zn. różnica między ceną a kosztami produkcji, czyli czysty zysk, którego stopa jest unormowana taryfą, pozostaje zawsze ta sama) został powszechnie uznany za niecelowy w pierwszym rzędzie przez wspomnianą właśnie Komisję Rachunkowości Publicznej. Najważniejszym zarzutem, wysuwanym przeciw tego rodzaju umowom jest okoliczność, że aczkolwiek formalnie decydującym elementem jest wysokość nakładów produkcyjnych, a wtórnym dopiero cena kupna i policzony z nią zysk, to merytorycznie rzecz biorąc, państwo, występujące w roli nabywcy całą swą uwagę skupia na momencie negatywnym, mianowicie na pilnowaniu, by stan zysku przedsiębiorcy nie przekraczał sztywnej, górnej granicy, natomiast zupełnie pomija moment pozytywny, tak niezmiernie doniosły dla ekspansji gospodarki narodowej, jakim jest obniżenie kosztów w produkcji.

Ten właśnie pozytywny moment jest natomiast w pełni uwzględniony w drugim typie umów, w których cena kupna jest ustalona z góry, t. zn. z chwilą zawarcia kontraktu bądź jeszcze w początkowych fazach produkcji. Przy umowach tego typu, wielokrotnie zalecanych przez Komisję Rachunkowości Publicznej, dostawca zatrzymuje jako swój czysty zysk całą różnicę między faktycznie poniesionymi kosztami a ceną kupna bez względu na to, jak się w rezultacie ułoży relacja między kosztami, ilością użytego kapitału a zyskiem. Oczywiście kwestia kosztów odgrywa rolę również i przy systemie zamówień po stałych cenach, jednak chodzi tu o dane orientacyjne, ułatwiające obliczenie uzasadnionej w przybliżeniu ceny kupna, a nie o wielkość stałą, na podstawie której obliczałoby się cenę przez mechaniczne dodanie zarobku dostawcy według określonej z góry stopy procentowej. Metoda wypośrodkowania tych danych stosowana przez rząd, mogła zapewne prowadzić do błędów, zwłaszcza, że obliczenie przypuszczalnych kosztów i następnie cen było oparte na szacunku technicznym (ilość godzin pracy itd.) a nie na doświadczeniach poprzednich robót na zamówienie. Mimo to jednak, niezależnie od uzyskania przez rząd bardziej lub mniej korzystnych warunków nabycia, jeden czynnik zostaje w pełni zachowany, mianowicie zachęta dla przedsiębiorcy, by wszelkimi siłami starał się swe koszty produkcji obniżyć. I w tym właśnie tkwi cała istota problemu. Jest więc z gruntu błędną rzeczą ocenianie rezultatów działalności rządu, jako nabywcy, jedynie według tego, czy zysk dostawcy był procentowo wysoki, czy niski. Pozostawiając przedsiębiorcy do jego dyspozycji całą czystą nadwyżkę, czyli skłaniając go do zredukowania kosztów produkcji, państwo osiąga tą drogą równocześnie realizację zupełnie określonych postulatów natury spoecznej i gospodarczej. Ozniżka kosztów, przypadających na jednostkę produktu z reguły da się w pierwszym rzędzie uzyskać przez wzrost produkcji, moment ważny zarówno w czasie wojny z uwagi na potrzeby wojskowe, jak i w okresie powojennym ze względu na głód towarowy wewnątrz kraju oraz konieczność eksportu. Obniżając koszty (z wyłączeniem oczywiście płac robotniczych, legalnie ustabilizowanych) przez polepszenie sprawności i wzrost produkcji, przedsiębiorca staje się tym samym bezpośrednio czynnikiem postępu technicznego i gospodarczego. Państwo ze swej strony również korzysta ze wzrostu wydajności, ponad to spadek kosztów umożliwi obniżkę ceny zakupu przy następnych zamówieniach.

Kończąc, autor zaznacza, że uwagi Komisji Rachunkowości Publicznej niewątpliwie odegrają użyteczną rolę, zapobiegając błędom w kalkulacji cen zakupów. Jedyną jednak realną metodą oceny polityki zakupów ze stanowiska gospodarstwa społecznego jako całości, byłaby analiza całej serii kontraktów — przeprowadzone z uwzględnieniem efektów uzyskanych dzięki zamówieniom państwowym w dziedzinie sprawności technicznej i kosztów wytwórczości w przeliczeniu na jednostkę produktu. Być może, że wówczas okaże się, że niejednokrotnie lepiej się kalkulowało dać przedsiębiorcy zarobić np. 25% w stosunku do użytego kapitału, udzielając mu zamówienia z ustaloną z góry ceną kupna, niż wydzielić mu 10% zysku według taryfy, sprawdziwszy przed tym wysokość nakładów, faktycznie w danym wypadku poniesionych.

Tygodniowy Przegląd Kulturalno Naukowy

Przed tygodniem ukazał się w Poznaniu numer wskrzeszonego na nowo „dwumiesięcznika poświęconego pradziejom Polski“ p. n. „Z otchłani wieków“ organu Muzeum Prehistorycznego i Instytutu Prehistorycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Czasopismo „Z otchłani wieków“ ma za sobą 14 lat istnienia i było pomyślane jako pismo popularyzacyjne prehistorii i kultury słowiańskiej w Polsce. W ostatnich jednak latach przedwojennych stawało się coraz bardziej pismem fachowym dla prehistoryków, pracujących twórczo w tej gałęzi wiedzy jako organ informacyjny o nowych odkryciach naukowych oraz na łamach tego pisma pomieszczali pierwsze prace o charakterze przyczynków młodzi adepci prehistorii, studenci wszystkich ośrodków uniwersyteckich w Polsce. Dookoła pisma tego grupowali się księża, nauczyciele, lekarze, ziemianie i inni, pracujący z amatorstwa nad badaniem pradziejów Polski względnie biorący udział w zabezpieczaniu odkrytych stanowisk prehistorycznych. Między więc Polskim Towarzystwem Prehistorycznym a tymi ludźmi pracującymi ideowo w terenie w różnych dziedzinach krajoznawstwa polskiego za pośrednictwem tego pisma zawiązała się nić serdeczna bezinteresownej służby dla nauki i oddania się jej bez reszty w każdej wolnej chwili od zajęć zawodowych. Ta twórcza i tak niezbędna współpraca została jednak przerwana na długi okres wojenny. Obecny zeszyt jest zakończeniem nie skończonego rocznika przedwojennego, który nie mógł być kontynuowany ze względu na agresję niemiecką, rozpoczętą we wrześniu 1939 roku.

Nie od rzeczy będzie wobec tego zastanowić się jaki charakter winno mieć to pismo w przyszłości. Jak wiemy potrzeby w tym zakresie są ogromne i właśnie dziś a nie kiedy indziej, nie można zmarnować okazji, aby potrzeby prehistorii związać z potrzebami Słowianoznawstwa i w ten sposób wywołać odpowiedni oddźwięk ideowy, potrzebny nie tylko społeczeństwu, ale także samej prehistorii. Musimy bowiem w społeczeństwie wyrobić takie ukochanie dziejów nie zawartych w słowie pisanym, jakie można zaobserwować w krajach skandynawskich, gdzie prehistoria jest nauką „historyczną“ w sensie przedłużania dziejów tych narodów w głąb czasów prehistorycznych. Należy tylko wspomnieć o Wikingach i związane z nimi sagi skandynawskie, aby zdać sobie sprawę, jak potężne echo znajduje tam prehistoria u społeczeństwa. A u nas jak to wygląda? W Krakowie ukazało się przed miesiącem czasopismo p.t. „Życie Słowiańskie“ jako miesięcznik poświęcony sprawom słowiańskim, wydawany przez „Prezydium Komitetu Słowiańskiego w Polsce“, którego duszą i redaktorem jest prof. H. Batowski. Z góry musimy przyznać, że zamykamy to czasopismo z uczuciem zawodu. Dlaczego tak jest? Oto dlatego, że nie sięgnięto głębiej, nie starano się o to, by słowiańskość emanowała z kart tego pisma, z tego okresu najbujniejszego Słowiańszczyzny wtenczas, gdyśmy sięgali po Łabę. Mickiewicz i dekabryści to tylko drobny fragment współpracy słowiańskiej. Jakże bogata treść „życia słowiańskiego“ w okresie plemiennym, które wydobywa na jaw prehistoria. Dlatego tak wielkie stoi zadanie przed czasopismem „Z otchłani wieków“. Wydobyć Słowiańszczyznę taką jaką jest w istocie, bez naleciałości romantycznych i sielankowych i związać ją żywo ze społeczeństwem polskim przez odpowiedni oddźwięk ideowy. Śledźmy Słowiańszczyznę z takim kultem i umiłowaniem, jak to robią narody skandynawskie przez najszerszą współpracę społeczeństwa z nauką i ludźmi, którzy pracują na polu prehistorii.

J. Ant.

Odpowiedzi Redakcji

P. Jan Fr. Wrocław. Za cenne uwagi bardzo dziękujemy. Specjalnie słusznym jest Pańskie zdanie co do drugiego „utworu“. Podobne niedociągnięcia nie powtórzą się.

P. I. Z. Kopki. Redaktor dziękuje za uznanie i miłe słowa. Wiersze wykorzystamy. „Wrześniowe“ muszą poczekać. Pismo i honorarium wysyłamy.

P. Mieczysław Tr. Kluczborek. Wierszyki ciekawe. Trzeba jednak dużo pracować Prosimy o dzielenie się z nami od czasu do czasu nowymi, coraz bardziej dojrzałymi, osiągnięciami.

P. Marceli T. Świder. Nie zamieścimy.

P. Pop. R. Poznań. Za b. ciekawe informacje dziękujemy. Przekazujemy Piórkowskiemu. Zastrzeżenia Pana co do ścisłej dyskrecji są tak wiążące, że nie wiemy w jaki sposób możemy na ten skandal reagować. Prosimy o list i radę.

P. Jan G. Hrubieszów. I znów nie to o co nam chodzi. Cenimy i szanujemy Pański wysiłek. Zachęcamy do stanowczego zerwania z łatwiznami myślowymi. Wywód Pański, tak bardzo słuszny, naprawdę nie sprowadza się do zagadnienia wyborów. Istnieją bowiem te sprawy wielkich norm sprawiedliwości społecznej, nad których zrealizowaniem trzeba pracować ponad wszelką koniunkturą.

SZEROKI HORYZONT

Prawdziwa malajska bajka

Zaczyna się to, jak każda bajka...

Pewnego razu był sobie ciemnoskóry Malajczyk, który nazywał się Charles Thamboe. Kiedy był jeszcze małym chłopcem, zaopiekował się nim pewien dobrotliwy starszy Anglik, który nauczył go władania swym ojczystym językiem bez jakichkolwiek naleciałości obcych. Ale, jakto zwykle bywa, mały Thamboe urósł i musiał pomyśleć o zarabianiu na miseczkę ryżu. Jego umiejętności bardzo mu wówczas pomogły, gdyż został speakerem radiowym.

Wszystko układałoby się jaknajlepiej, gdyby nie to, że na ojczyznę Thamboa napadli źli Japończycy, dowodzeni przez jeszcze gorszego generała Yamaszitę, popularnie zwanego bardzo niepopularnym przydomkiem „Tygrysa Malajów". Nie było rady i ciemnoskóry Thamboe musiał razem ze swymi angielskimi chlebodawcami uciekać na Jawę. Ale zawierucha wojenna nie oszczędziła i tej pięknej wyspy — pewnego pięknego dnia — był to nie zły sen, ale jawa — nasz Thamboe stanął oko w oko z Yamaszitą. O czym dokładnie rozmawiali, tego oczywiście niewiadomo, ale dla zachowania bajkowego stylu tej opowieści podamy tylko, że Thamboe musiał widocznie złożyć błagalnie ręce i powiedzieć: „O wielki panie Tygrysie, nie zjedz mnie tylko, a użyję mej pięknej angielszczyzny tak, jak tylko będziesz sobie tego życzył".

I w ten to sposób Thamboe zaczął pracować w japońskiej propagandzie radiowej, a jego nowi chlebodawcy byli bardzo dumni z jego nienagannego stylu i oxfordzkiego akcentu, jakim — według ich mniemania — musiał wprawiać w zdumienie anglosaskich słuchaczy. I znowu życie nabrało uroku dla Malajczyka, który popisywał się codziennie swymi umiejętnościami przed japońskim mikrofonem.

Tymczasem wojna toczyła się dalej i pewnego dnia Thamboe zrozumiał, że sprawy jego poprzednich chlebodawców oraz ich amerykańskich i holenderskich sprzymierzeńców nie wyglądają tak znowu najgorzej. Przyszła mu więc do głowy dowcipna myśl, że mógłby czasami powiedzieć w swych audycjach coś takiego, co po tamtej stronie frontu byłoby słuchane ze specjalnym zainteresowaniem. Za myślą poszedł czyn — Japończykom bardzo się podobał niesłychanie pochlebny opis olbrzymich doków marynarki japońskiej w Semarangu. Anglikom opis ten również bardzo się podobał i dziwnym zbiegiem okoliczności już następnej nocy ich ciężkie bombowce zaatakowały Semarang, gdzie wspaniałe doki w ciągu kilkudziesięciu minut przestały być wspaniałymi. W jakiś czas później Thamboe roztoczył przed swymi słuchaczami barwny obraz nowocześnie urządzonych śpichlerzy ryżowych w Bangkoku, które w wielkich halach mieszczą całe rezerwy żywnościowe dla jednej z armii kraju Wschodzącego Słońca. Sprawozdanie to było tak sugestywne i tak przekonywało o gospodarczej potędze Japonii, że zrozpaczeni Amerykanie wysłali nazajutrz eskadrę „Latających Fortec" z ładunkiem zapalających bomb nad Bangkok, celem przyrządzenia większych ilości ryżu prażonego sposobem „a la minute".

Kiedy wreszcie jego wdzięczni radiosłuchacze pokonali Japończyków i przybyli na Jawę, Thamboe zrozumiał, że ponieważ wyspa ta nie zaznała jeszcze pokoju, więc i dla niego może znaleźć się tam jeszcze trochę ciekawego zajęcia. Rozpoczął więc wydawanie w języku angielskim antyholenderskiego pisma „Independent", które jest kolportowane przez Jawańczyków między brytyjskimi żołnierzami. Na łamach tego organu Thamboe stara się wyjaśnić Brytyjczykom, jakimi to imperialistami i krwiopijcami są Holendrzy. Oczywiście nie wiadomo, jak długo ta nowa gra będzie trwała, gdyż doświadczenie naucza, że ciemnoskóry mistrz propagandy łatwo zmienia orientację.

Obecne jego credo polityczne zdaje się jednak odpowiadać w ogólnych zarysach przekonaniom panującym wśród brunatnych ludzi w tej części świata, którzy uważają, że ponieważ tygrys japoński został pożarty przez lwa brytyjskiego, więc teraz trzeba znowu poszczuć kogoś na tego lwa. Widocznie ludzie ci wierzą w rozwiązanie idealne, bajkowe — że z następnych, walczących o ich ziemie partnerów, pozostaną tylko ogony.

Wilk.



ŚPIEW O REAKCJI CZARNEJ.

Studentce Hali, która, wg. opinii jednego z kolegów, jest porządną dziewczyną, ale czytuje „Dziś i jutro".

Obywatele, oddawna męczy mnie
niezdrowy jakiś dziwny stan,
nie sypiam wcale, albo źle,
może wódeczkę, może tran
na te niedomagania wziąć?
Ciężka jest dola moja marna,
bo choć w dzień chciałbym kląć:
urasta w snach reakcja czarna.

„Głos ludu" codzień na nią grzmi,
pioruny ciska, warczy, klnie,
ja czytam, czytam — wierzcie mi,
do głębi to przejmuje mnie,
wiem, że w tym jest dramat kraju
i spać nie mogę, noc jest parna,
reakcja winna suszy, winna nieurodzajom
i to nie zwykła, ale — czarna.

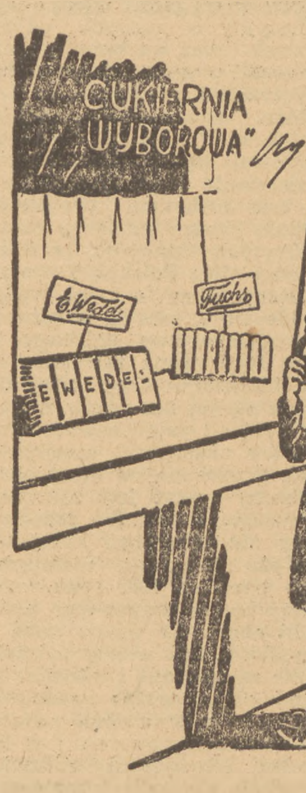
Obywatele, powiedzcie, proszę,
czy wybrnę w końcu z tej sytuacji,
bo przecież wiecie, ja nie znoszę
naprawdę żadnej reakcji.
A tu w nocy, czy też w dzień
narasta wszędzie, szczerzy kły,
może nią nawet jest mój sen,
rośnie, urasta wielki mit.

Ja robię skrycie krzyża znak,
gdy na reakcję grzmi Gomułka,
ja wiem, że czegoś w Polsce brak
i tętni głos czyjś jak kukułka:
że to reakcji czyn lub sprawy.
I wtedy drżę i proszę Boga,
aby wybawił mnie z obawy
i wskazał, jaka bez reakcji droga?
Przed wojną było nieco inaczej,
wiadomo było — kastet, pałka, nóż...
i czapka, biała czapka, w klapie znaczek,
a więc po prostu — no i już...
a dziś? — i węszę, szukam,
bo chciałbym przecież być lojalny,
ale nic. Serce mi trwogą puka,
bo ja się boję tej ferajny.

Ja mówię szczerze: ja się boję,
i choć ulica dniem jest gwarna,
narasta serce niepokojem,
bo wszędzie czyha reakcja czarna.
I choć nie jestem człowiek zły,
to w końcu będzie ze mną źle,
proszę powiedźcie prawdę mi,
co jest reakcją, a co nie!

---

*) Temat wiersza nie może być wykorzystany jako osnowa artykułu wstępnego w piśmie codziennym. (Przyp. autora).



JAK SOBIE MAŁY KAZIO WYOBRAŻA BLOK WYBORCZY.



„MŁODZIEŻY POLSKIEJ"

ilustracja do dedykacji książki d-ra Widy-Wirskiego „Polska a rewolucja".

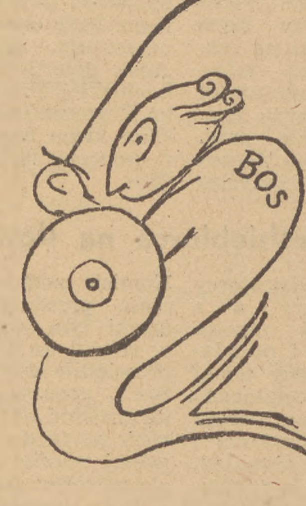
„WIEK KLĘSKI"
ANTONIEGO SŁOMIŃSKIEGO:

Przykro jest, kiedy wiek męski,
w wiek się zamienia klęski,
zaznaczając to — przyznać trzeba, niestety:
że nie świata to klęska, a klęska poety.

Józef Nowina

BIULETYN Z WARSZAWY:

Pytacie, drodzy czytelnicy,
czy wiele się tu zmieniło.
I owszem i nawet dużo,
bo więcej b a r ó w przybyło.



VARSOVIE BOS-sue

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok P. — 06820 Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr. 2, Marszałkowska 3 5.